EPOKA

ROK V. Warszawa, 15 lutego 1938 r. Rok V Nr 5 (108)

Treść numeru:

SIELANKOWY ZAKĄTEK MARII DĄBROWSKIEJ
Wł. Kowalski

CZY JAN LAM ZMARTWYCHWSTANIE?
Dr Wł. Jampolski

Z DNIA NA DZIEŃ:
Adw. Wiewiórska na trybunie Klubu Demokratycznego. — Młodoendecja w obronie.. Lindenbaumów. — Chuligaństwo i chłosta. — Prawdziwy Boryna. —

ANDRZEJ STRUG I KAROL IRZYKOWSKI, DWAJ LUDZIE— DWA ŻYWOTY
Zb. Ziemski

LIST DO SABINY FABIŃSKIEJ
S. Staniszewska

W CIENIU LATYFUNDIÓW
Jan Duchnowski

POD OBSTRZAŁEM 60 RODZIN
Roman Lang

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

NA WIDOWNI POLSKIEJ I ŚWIATOWEJ

Sielankowy zakątek Marii Dąbrowskiej

Nikt chyba sam sobie nie udowodnił żałosnej czczości malkontenctwa tak wymownie, jak to uczyniła Maria Dąbrowska w swej nowej broszurze *Moja odpowiedź*, którą napisała wskutek obszarniczej napaści na poprzednio ogłoszone *Rozdroże*.

Gdy czytamy *Moją odpowiedź*, odnajdujemy w niej, mimowoli, analogię do tych zjawisk notowanych w kronikach sądowych, gdzie oskarżony, pod wpływem załamania się psychicznego, kaja się i wypiera się swego czynu w sposób oskarżycielski dla siebie.

W tym oskarżycielskim dla siebie tonie przemawia do nas Dąbrowska na 110-ej stronie swej broszury. I gdy świadomi rzeczy, zdajemy sobie sprawę, że mowy tu być nie może o jakimkolwiek z jej strony czynie zdrożnym, narzuca się nam pytanie: co w takim razie skłoniło Dąbrowską do podobnego samobiczowania?

Tak np. p. Starowiejska Morstinowa, która w ideał Dąbrowskiej, pragnącej oprzeć siłę Polski o chłopów, uderzyła najmocniej, dostatecznie jasno oświadczając, że *chłopom zaufać nie można*, — ta właśnie przeciwniczka została przez Dąbrowską potraktowana najprzychylniej. A przecież nikt nie śmie posądzić Dąbrowskiej o to, że się na tezę Morstinowej zgodziła. Nic podobnego! Oto, po prostu, jak z treści broszury wynika, Dąbrowska tezy tej u Morstinowej po prostu *nie dostrzegła*.

I nie językiem idei, lecz językiem uczuciowego urazu odpowiedziała swoim krytykom. Jak sama bowiem stwierdza, obrażono ją niesłusznie, gdyż *żadnej walki o wyrażone w „Rozdrożu" idee podejmować nie zamierzała*.

Po tym, co sama wyjaśniła, nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się z jej postawą duchową Skargowskiego, wzniosłego ostrzeżenia dla szlachty.

Skoro jednak wypada podkreślić, że społeczna wartość *Rozdroża* dla ludzi uczciwych pozostanie taka, za jaką uznaliśmy je swego czasu *), stwierdzić musimy to, że autorka narzuciła na siebie zasłonę, z poza której widzimy ją patrzącą na świat przez zamglone okulary.

I tu powtarzamy postawione pytanie: co skłoniło Dąbrowską do aktu samobiczowania się przed try-

*) „Epoka" Nr 12 r. 1937: Wł. Kowalski — „Dwie myśli na rozdrożu — Dąbrowska i Morstinowa".

bunałem obszarnictwa? Gdzie szukać genezy tego zjawiska, któremu autorka tak dobitny dała wyraz, a który nosi miano malkotenctwa, czy — jak kto woli — oportunizmu?

Otóż po genezę podobnego zjawiska należy sięgnąć aż do momentów historycznych i to momentów arcy-polskich. Maria Dąbrowska, taka, jaka się nam sama ukazała, patriotyczna, czuła, chwiejna i bojaźliwa, należy do tych elementów szlachecko-inteligenckich, które jeszcze starą Polskę ratowały (lub usiłowały ratować) przez lament i błagalne modlitwy słane u stóp magnatów, bez których nie wyobrażano sobie przyszłości kraju, a nawet nie wierzono w zwycięstwo nad wrogami. To też w imię siły, mającej wypłynąć z jedności narodu szlacheckiego, nie wzywano nigdy polskich mas chłopskich do buntu przeciwko najeźdźcom, nie wzywano ich, bo magnaci bali się mas tych jak ognia, bali się więcej, niż — armat Dybicza *).

Tę samą chwiejność ludzi, pokrewnych Dąbrowskiej, obserwujemy i w Polsce Niepodległej. Ale tu już nie tylko swoje własne karki gięli oni ku „starszym a zasobnym braciom". Teraz spróbowano dogiąć karki siedemdziesięciu procent narodu o zgoła innej psychologii, niż psychologia szlachecka.

To też wyniki tej metody okazały się tak wspaniałe, że dostrzegamy je — jak się to mówi — gołym okiem. Chłop poszedł w swoją stronę, a panowie postępowcy w swoją, pod opiekę Radziwiłłów, Tarnowskich, Sapiehów, tudzież ich adherentów.

Historycznie więc jesteśmy w zgodzie. Okazało się, że nawet cały wiek niewoli, nie zdołał pewnych żywiołów przekształcić. Jeśli im już od dawna — jak Niechcicom — brakło swoich własnych dworów, wcale nie zrodziła się w nich przez to zdrowsza myśl społeczna.

Idea niepodległości, która wśród chłopów przybrała żywsze i masowe tempo dopiero w okresie gnębiącej okupacji niemieckiej, w wolnej już Polsce nie mogła przecie wystarczyć za jedyną dźwignię dla tychże mas, którym t. zw. postępowcy nic ponadto zaofiarować nie mogli czy nie potrafili.

Rozbrat więc następował szybko. W miarę postępującego rozbratu, rosła nerwowość oraz zniechęcenie wśród t. zw. postępowców w stylu warszawskim, aż wszystko to wylało się w nieufność do mas chłopskich.

My wierzymy w chłopa, ale nie wierzymy ani w jego konserwatyzm i klerykalizm, ani tymbardziej w możliwość szczepienia chłopom dawnej kultury szlacheckiej. Zdając sobie sprawę z wartości kulturalnych, jakie szlachta w wyniku wiekowego swego dorobku pozostawiła, rozumiemy przecież, że przejęcie tych wartości przez rzesze chłopskie, może umożliwić jedynie nowa, chłopska kultura. Co zresztą nie jest wcale odkryciem nowym, ani specjalnie naszym, lecz jest prawem naturalnym, po nad wszelką wątpliwość potwierdzonym przez rozwój historyczny ludzkości. Sztuczne zaś wszczepianie kultury „ducha" szlacheckiego chłopom, może osiągnąć wyniki jedynie chwilowego nastroju, lub podobne tym, jakie osiągnięto przed wojną, wychowując szereg jednostek podatnych, lecz chwiejnych i słabych, bardzo często wyszydzanych we wsi za oderwany od rzeczywistości sentymentalizm. Ale, stwierdzamy to z głębokim przekonaniem, jeśliby ten wytknięty przez nas sztuczny chłop-sentymentalista wystarczał pseudopostępowcom, masy, jako takie, w swojej rzeczywistości nie mogą się poddać podobnemu — powiedzmy — okaleczeniu, gdyż inaczej tego nazwać nie można. I to należy uznać za czynnik dodatni, nie zaś ujemny. Boć chyba nie chodzi o wychowanie żywych malowanek chłopskich, lecz o ludzi tęgich, mogących dźwigać na sobie państwo. A tacy mogą powstać jedynie w nowej kulturze, z ich potrzeb i z ich ducha wyrosłej. Podobnie, jak wyrosły silne jednostki mieszczańskie tam, gdzie zwycięstwo burżuazji nad feudalizmem szlacheckim było całkowite i rozstrzygające.

Dąbrowska tej drogi tutaj nie dostrzega. Jej się zdaje, — mimo iż do O. Z. N. nie wstąpiła — że chłopów można będzie tak jakoś bokiem dosadzić do stołu kultury szlacheckiej. Wystarczy mieć tylko uczuciowy do chłopa stosunek i dać mu kawałek ziemi, a już tam chłop jakoś do swych dobrodziejów przylgnie, jak koszula do ciała. A jednocześnie ocaleją i ziemianie i będą rej wodzili w powiatach. Dziedzicowi wolno będzie nie wierzyć w Boga, ale chłop musi wierzyć, gdyż inaczej ogłoszą go za „bolszewika" i będą mu deptać po piętach. Książka, taka sama, jak książka mieszczańska, ukazująca bez wszelkich zakłamań życie chłopa, będzie wyklęta, gdyż chłop powinien mieć w sobie coś z anioła i żebraka, aby „sfer wyższych" nie niepokoił swoją ludzką osobą. Może więc być albo tak głupi, jak w „Naprawie" Jalu Kurka, albo dziwny i egzotyczny jak u Wiktora i Orkana, albo „krzepki" jak reymontowski Boryna. Może mieć swój „zdrowy, chłopski rozum", którego nikt nie umie nazwać ani pokazać jak wygląda. Może myśleć sobie po sienkiewiczowsku, i śpiewać pieśni Konopnickiej. (Z nowych, jedni zalecają Pietrkiewicza, drudzy Młodożeńca: cymbalistykę o chłopach dla uciechy gawiedzi).

Mówić chłop powinien tylko słowa przyjemne, a żądania mieć takie, by nic nie naruszały z utartej frazeologii, gdyż t. zw. panowie postępowcy w ślad za burżuazją chcą mieć spokój i chcą „kochać lud".

Taka jest droga p. M. Dąbrowskiej oraz pokrewnych jej psychologicznie umysłów postępowych, bez względu na to w jakim znajdują się obozie. I gdy na taką drogę chłop — nie to, że nie chce wejść, ale nie może, rodzi się u nich wszystkich to samo podobne przewrażliwienie, jakie obserwujemy u znakomitej pisarki w „Mojej odpowiedzi".

Uraza osobista wybujała w niej ponad ideę, gdyż idea sama w sobie okazała się drobiazgiem. Jej — jak powiada — o nic nie chodziło, jak tylko o uproszenie kawałka ziemi dla chłopa. Ale nas już teraz zastanawia, jak postąpiłaby sama autorka „Rozdroża", gdyby miała władzę? Skoro bowiem ktoś nie jest zdolny przebudować swojej psychiki, i stanowczo wyjść poza próg rodziny Niechciców, by zobaczyć świat inny, trudno mu na słowo uwierzyć.

Ziemianie jednak nie żyją abstrakcją, lecz realnym, materialnym życiem, którego nie wyrzekną się dla ideałów, kreślonych piórem, nawet tak subtelnym, jak pióro autorki „Nocy i dni". Ale tego Dąbrowska również nie dostrzega, gdyż patrzy ona na świat z pod klosza swojej szlacheckiej przeszłości i jak ów Żeromskiego malec z Zagajów z pod ojcowskiej czapy, — „widzi tylko obłoki i ziemię, obłoki i ziemię".

WŁ. KOWALSKI.

*) Wyrażenie Maurycego Mochnackiego.

Czy Jan Lam zmartwychwstanie?

W setną rocznicę urodzin świetnego satyryka i dziennikarza

Rozmaite są sposoby czytania. Najmilszy, najlepszy, istotny jest ten, w jaki oddają się lekturze dzieci. Zapominają wtedy o świecie, zapominają o sobie, wchodzą w skórę bohaterów i autora. Nie ma miejsca, ani czasu na krytycyzm, na porównania. Na kartach książki otwiera się nowy, upajający świat. — Potem, gdy ten wiek szczęśliwy minie, czyta się już inaczej, z pewnym sceptycyzmem i wewnętrznym oporem, z aktywnym udziałem myśli, — zwłaszcza wtedy, gdy się czyta fachowo, z obowiązku.

Czytając po raz niewiadomo który powieści Lama, tak popularne na przestrzeni lat od roku powiedzmy 1866 aż niemal po wybuch wojny, obcujemy raczej z naszymi dawnymi, bardzo młodymi i świeżymi wspomnieniami. Dajemy się unosić fali tych dawnych wspomnień, zapominamy, w jakim momencie żyjemy, nie czynimy zestawień ani porównań. Ale w pewnym momencie świadomość krytycznego obowiązku każe zatrzymać bieg wspomnień, wywołanych czytaniem, które odświeża ślady dawnych lektur. I człowiek chciałby wejść dla odmiany w skórę dzisiejszych czytelników, tych, którzy nie znają przedwojennych czasów, czytają Lama po raz pierwszy i nie zetknęli się z atmosferą przedwojennej Galicji. Pytanie to można również sformułować w sposób bardziej szumny, uroczysty, jak to uczyniliśmy w tytule: czy Jan Lam zmartwychwstanie — albo mówiąc inaczej — jak oddziałają jego książki na dzisiejszego czytelnika? Jak on będzie na nie patrzył w oderwaniu od atmosfery, która je wywołała a której on nie zna? Ale ta próba utożsamienia się z dzisiejszością, niepamiętającą o wczoraj, będzie dopiero wynikiem analizy, próbującej wniknąć w ducha twórczości Lama i zestawić ją z obecnymi produktami literackimi i dziennikarskimi, wyrastającymi na glebie, którą on uprawiał.

×

Powiedzmy krótko, kim był Jan Lam. Urodził się w r. 1838. Pochodził z urzędniczej, niemieckiej rodziny, ale już ojciec się spolszczył, a syn gorącym był patriotą. Młodość nie była dostatnia. Spędził ją Lam w szkołach, w małych miasteczkach, na wsi, potym dostał się do Stanisławowa, wreszcie zawadził o uniwersytet lwowski. Wziął czynny, prawdziwy udział w powstaniu roku 1863 i za karę przesiedział się w austriackiej kozie. Były to czasy, kiedy powoli zbliżał się zmierzch austriackiego absolutyzmu,jego biurokracji, dokuczliwej, tchórzliwej i oportunistycznej — czasy, kiedy zalew niemczyzny powoli dopiero zaczynał ustępować z Galicji. Czasy te przejściowe, prozaiczne po wielkich wstrząsach powstań znalazły w Lamie świetnego beletrystycznego i dziennikarskiego historiografa o bystrym, trzeźwym, satyryczno-wesołym na ten świat spojrzeniu. Dwa fundamenty literackiego odzwierciedlenia tych czasów to „Panna Emilia czyli Wielki świat Capowic" i „Koroniarz w Galicji czyli Powagi powiatowe".

Ale wróćmy do toku życia Lama, bo rozpędziliśmy się zbyt daleko. Nie przyszło łatwo ubogiemu młodzieńcowi, byłemu powstańcowi znaleźć posadę w ubogiej, biurokratycznej Galicji. Włóczył się tu i ówdzie, siedział na wsi, na wsi się ożenił i wreszcie zjechał do Lwowa, tu osiadł i do kresu swojego krótkiego żywota umarł w r. 1886 — już się nie ruszył poza rogatki nadpełtwiańskiego grodu, poprzez które przeszło tyle jego artykułów, kronik, powieści.

Zaczął się po okresie awanturniczym nowy okres w życiu Lama, bałagulsko-cygańsko-mieszczański. Lam szybko zabłysnął jako świetny satyryk, jako autor ówczesnym zwyczajem niepodpisanych kronik w „Gazecie Narodowej" a potym w „Dzienniku Polskim", których autora każdy znał — i każdy wiedział gdzie go szukać. Czasy z dramatycznych stały się codzienne, z rewolucyjnych ewolucyjne i Lam, jakby uciekając przed ciszą i zastojem, stał się hersztem całej czeredy literacko-dziennikarskich bywalców a raczej mieszkańców restauracji, kawiarń i knajp. Tam ściągali i ludzie stateczniejsi, politycy, profesorzy, urzędnicy, aby dziennikarzy pociągnąć za język i w razie potrzeby zainspirować. Bywały tu ryby, należące do najgrubszych. Między innymi sam pan, dr. Franciszek Smolka, ten, który trzyma się dzisiaj kurczowo postumentu, swego koślawego pomnika na placu lwowskim swego imienia, aby niezleciec zeń — wtedy zaś kolejno Smolka rewolucjonista, federalista, a później wieloletni, uroczysty, brodaty prezydent parlamentu austriackigo. Tento dr. Smolka bawił się, pił i baraszkował z dziennikarzami.

Lam nie lubił spokoju. Był urodzonym partyzantem, a nie mogąc nim być w lesie powstańczym, był nim w lesie pism, sporów i zwad politycznych. Nie umiał się związać na stałe z żadnym obozem, grupą, kliką czy szablonem. Był sobą. Raz był tu, potym przerzucał się w inną stronę, nie przystosowywał się do środowiska, ale nadawał mu swoje piętno. Był kronikarzem „Gazety Narodowej", organu potężnego wówczas i buńczucznego dziennikarza lwowskiego — tacy już są ludzie we Lwowie — Jana Dobrzańskiego, zwanego Janem Czwartym. Potym się z nim poróżnił, „ przeskoczył niespodziamie do świeżo założonego „Dziennika Polskiego", którego został redaktorem a który utrzymywał kontakt z byłym rewolucjonistą, późniejszym ministrem austriackim, Florianem Ziemiałkowskim, z ugodowcami, tzw. mamelukami.

Zarzucano Lamowi wskutek tego niekonsekwencję, odstępstwo. Ale co go to wszystko obchodziło? My dziś widzimy, że miał rację. O jakiejś konsekwentnej linii programowej, a tym bardziej taktycznej trudno u niego mówić. Na to był zbyt opieszały, zbyt chimeryczny, miał zbyt wiele drażliwości, temperamentu, ambicji. Umiał być wolnym i to całą gębą. Nie imponowało mu nic. Ani zaborcy, ani dygnitarze obcy i własni, ani epoka dziejowa, z której legendą on, pierwszy odbronzowiacz, zanim wymyślono i spopularyzowano to słowo, starł się w „Koroniarzu w Galicji". I jakiej wolności imci pan Jan wtedy zażywał! Organy, w których pisywał, czytywane były przez szlachtę wiejską i wzorujące się na szlachcie mieszczaństwo. A on sobie nic z tej szlachty nie robił. Kpił sobie z niej w żywe oczy. To, co czyni dziś Maria Dąbrowska, jest delikatnym muśnięciem w porównaniu z ciosami, zadawanymi przez Lama. Gdyby żył dziś, to zamiast urządzać jubileusz, spalonoby go na stosie. Ale taki już jest los jubilatów, zwłaszcza po śmierci. Fałszuje się ich oblicze, wypruwa się wszelką treść i każe się czcić spreparowane w ten sposób kukły.

Pan Jan w powieściach swoich ryczał ze śmiechu, gdy mu mówiono coś na temat rzekomej rycerskości i wojowniczości szlachty galicyjskiej. Ależ skąd — wołał w powieściach wprost od siebie, przerywając tok akcji i dialogi bohaterów — nie umieją się trzymać na koniu, na widok żandarma, uciekają w krzaki, (jak to pan Asakasowicz uczynił), — starają się pozbyć powstańców z dworów, karmią ich jaknajgorzej, spełniają jakieś śmieszne i głupie funkcje konspiracyjne, ale ani im się śni poprzeć powstanie, a cóż dopiero wziąć w nim udział! Ciemni są jak tabaka w rogu, gospodarować nie umieją, puszą się i nadymają; głupio naśladują

Niemców, Francuzów czy Anglików, w koszlawej niemczyźnie składają hołd dygnitarzom austriackim i nawet komicznym naczelnikom powiatów.

Lam nie oszczędzał Austrii. Na pół wieku przed jej upadkiem, w czasie kiedy nie umilkły jeszcze echa absolutyzmu, pisał w „Dziwnych karierach": „Dr. Ciemięga... co się tyczy wojny z Laputańczykami (Niemcami) nie myśli nakłaniać do niej Chaocję (Austrię), bo jak mówił, na wojnie strzelają a Chaocja jest starym budynkiem, który gotów rozlecieć się od szumu". Zacytujemy teraz ustęp o cenzurze. „Epilogiem całej sprawy był złośliwy wiersz w „Szturchańcu" („Szczutku" lwowskim), opisujący niefortunne swaty oberkomisarskie (namiestnikowskie) w sposób tak niebezpieczny dla porządku i spokoju publicznego, że musiano aż przedsięwziąć nadzwyczajne środki ostrożności. Ober-Staats-Confiscator (szef cenzury), to jest dygnitarz, któremu rząd Chaocji powierza opiekę nad wolnością prasy w Milicji i Landwerii (Galicji i Lodomerii), zarządził formalną obławę na egzemplarze buntowniczego organu, skonsygnowano garnizon w koszarach i kazano kanionierom stać całą noc w pogotowiu przy armatach. Na ulicach każdy, komu przypadkiem jaki kawałek papieru wyzierał z kieszeni, ulegał całej surowości prawa, straż bezpieczeństwa okładała go bowiem szablami i kolbami, po czym ciągnięto go do więzienia i przetrząsano, a jeżeli znaleziono przy nim numer *Szturchańca* zabierano go bez ceremonii. I przy tej wszakże sposobności łagodność i sprawiedliwość władz miejscowych występowała w całym blasku, nietylko bowiem zwracano zrewidowanym ich odzież ale nawet wypuszczano niewinnych z więzienia bez protokółu i wszelkich formalności, nie żądając od nich wynagrodzenia za nocleg, jak to utrzymywała nieprzyjazna Chaocji prasa zagraniczna".

Nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania jeszcze paru kapitalnych określeń Lama na temat Galicji. „Wielkie księstwa Milicji i Landwerii leżą w strefie umiarkowanej, co znaczy, że w lecie gorąco a w zimie zimno, dochodzą tam do 30 stopni Celsjusza, reszta zaś roku bywa średnio zimna. Są to kraje rolnicze i uważane za śpichlerz tej części świata; jako też w istocie, zaledwie raz do roku odzywa się tam wołanie o zapomogę głodową. Głównym ich produktem, tym, któremu zawdzięczają swoją nazwę i który stanowi jedyny znaczniejszy przedmiot — nie handlu ale wywozu, są rekruci. Mieszkańcy dostarczają ich tak chętnie, tak są uprzedzający w tej mierze, że geografowie nadają im tę nazwę równie trafnie, jak są np. w Afryce: Wybrzeża Niewolników, Złota, Pieprzu, Kości słoniowej i tp. Ludność pod względem etnograficznym dzieli się podług religii. Są chrześcijanie, którzy żegnają się raz i tacy, którzy żegnają się trzy razy — dla analogii nazywać będę pierwszych Polakami a drugich Rusinami, są także niechrześcijanie, pełniący funkcje Żydów"... O, łagodna cenzuro owych czasów, napół absolutystycznych!

A teraz wróćmy do odpowiedzi na pytanie postawione na wstępie: *czy Jan Lam zmartwychwstanie?* Dla porządku rozbijmy kwestię i produkcję naszego autora na kilka punktów. A więc Lam kronikarz. Kroniki tygodniowe są teraz i od pewnego czasu w modzie. Ale Lam pojemnością temperamentu, wiedzy, tematów, zainteresowań, obiektywizmu nietylko wytrzymuje zwycięsko próbę porównania, ale bije obecnych głośnych kronikarzy, którzy są jacyś kwaśni, egotystyczni, ciaśni, brak im oddechu i substancji a tematy wypełzają z nich w tak skąpej ilości i jakości, jak Kalodont z niemal już wypróżnionej tubki. Lam zajmował się niemal wszystkim, co interesowało współczesnych: polityką, kwestiami społecznymi, literaturą, sztuką, teatrem, naukami przyrodniczymi, nastawiał ucho na to, co się dzieje w Warszawie i Wiedniu, Krakowie, Poznaniu czy Budapeszcie, Pradze. Rąbał prawdę. Nie przykrawał, nie przystosowywał swoich myśli, opinii ani stylu. Powtarzamy: był wolny, nie uznawał autorytetów poza tymi, które nadawał talent i pożytek społeczny. — I dlatego był demokratą, mimo że nieraz ostro krzyżował szpadę z demokratami ówczesnymi z „Dziennika Lwowskiego", zarzucając im zaściankowość, ignorancję, brak kunsztu pisarskiego.

Lam jako powieściowisarz mówił również i przedstawiał jasno to, co widział i myślał. Był wierny idei powstańczej, ale tępił wszelką blagę, wszelkie samookłamywanie się na ten temat, przybierające chętnie szaty wygodnej i złudnej legendy. Znaczna większość społeczeństwa była bierna, mniejszość nieliczna walczyła — oto, co wynika z prawdomównej relacji powieściowej Lama. W innych swoich powieściach, w „Dziwnych karierach", „Idealistach", „Głowach do pozłoty" walczył ze spekulacją, z geszefciarstwem politycznym, z tępotą klik, z kołtuństwem zarówno szlachty jak mieszczaństwa. Powieści jego pisane pospiesznie, z odcinka na odcinek, posługiwały się szyfrem, który współczesnym był dobrze znany, ale który my musimy dopiero powoli rekonstruować.

Powieści te są dziennikarskie. Nie zawsze umieją oderwać się od gruntu, na którym powstały. Niektóre typy tylko, jak nieśmiertelny naczelnik powiatu Precliczek, jak fałszywy major powstańczy Wara - Kukielski uzyskały powieściowe prawo obywatelstwa. Jego nonszalancja kroiła powieść na miarę dziennikarstwa, nie wybiegającego artystycznymi ambicjami poza swoje pokolenie. A jednak stały się dokumentami, niekiedy dziełami sztuki. Lama rozbrajała artystycznie jego łatwość pisania, pewne niedbalstwo, prędkie i niezawodne sukcesy, które osiągał. Odgrzebując go z pyłu chwilowej niepamięci, nie wyobrażamy sobie nawet, jak wyrazistą był postacią, jak popularnym człowiekiem i jaki wpływ wywierał na współczesnych. Nasuwają się refleksje smętne o gatunkach sław rozbłyskujących jak rakiety, nieznaczonych trudem i wysiłkiem na długi żywot poprzez pokolenia.

WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI.

Z DNIA NA DZIEŃ

ADW. HELENA WIEWIÓRSKA NA TRYBUNIE KLUBU DEMOKRATYCZNEGO.

Jeden z kolejnych wieczorów dyskusyjnych Klubu Demokratycznego wypełniła adw. Wiewiórska ciekawą i aktualną prelekcją, poświęconą penetracji hitleryzmu w dziedzinie kształtowania się pojęć naszego prawa karnego oraz systemu wykonywania kary.

Na szeregu celnie dobranych przykładów prelegentka przedstawiła zastraszającą dewastację, spowodowaną przez ślepe naśladownictwo obcych wzorów w teorii i praktyce naszej konstrukcji prawa. Zasadnicza tendencja hitlerowskiego wymiaru sprawiedliwości, zmierzająca do uczynienia z podsądnego bezwolnej ofiary, wyzutej z określonych uprawnień, udzieliła się naszym amatorom totalizmu na gruncie prawnictwa. Prelegentka w mocnych słowach protestując przeciwko cofaniu naszej myśli prawniczej ku etapom dawno przezwyciężonym przez cywilizację, spotkała się z żywiołowym aplauzem licznego zgromadzenia, które w ten sposób dało wyraz nieprzejednanemu stanowisku opinii demokratycznej wobec inwazji totalizmu.

MŁODOENDECJA W OBRONIE... LINDENBAUMÓW.

W „Gońcu" i „ABC" rozpoczęła się kampania przeciwko projektowi nowej ustawy naftowej, zmniejszającemu opłaty od użytkowania terenów pod wiercenia naftowe i ułatwiającemu przejęcie takich terenów. I, jak zwykle w prasie „narodowej", wyszło zabawne „Qui pro quo".

Niewątpliwie „Goniec" i „ABC" mają rację stwierdzając, że nowy projekt stanowi pewną ulgę dla wiertniczych przedsiębiorstw naftowych t. zn. mówiąc konkretnie dla wielkiego kapitału zagranicznego, posiadającego w naszej nafcie blisko 90% produkcji. Projekt ustawy może ułatwić obcym koncernom naftowym „zablokowanie", „zagwożdżenie" terenów naftowych, zahamowanie rozwoju naszego górnictwa naftowego.

Ale wnioski, jakie z tego wyciągają „ABC" i „Goniec" są zupełnie fałszywe.

Wniosek pierwszy organów „narodowych" to odrzucenie projektu bez przyjęcia innego, czyli pozostawienie dawnego stanu. Ale po pierwsze wiemy, że i przy tej starej ustawie koncerny zagraniczne wcale skutecznie „blokują" i „zagważdżają" nasze górnictwo naftowe. Kto się interesuje naftą, wie, że nasza produkcja ropy spada w tempie katastrofalnym i że niedalekim jest dzień, kiedy tow. „Standard" pojawić się będzie mogło — jak o tym marzy — na naszych rynkach jako dostawca nie borysławskiej a, powiedzmy, meksykańskiej nafty. Po drugie wysuwanie jako głównych poszkodowanych chłopów podkarpackich jest oczywistym nonsensem. Niewątpliwie, nowa ustawa częściowo zagraża drobnym rolnikom Podkarpacia, ale główni poszkodowani to z jednej strony wielcy obszarnicy podkarpaccy, z drugiej spekulanci naftowi ze słynnym rodem Lindenbaumów na czele. Ten ród posiada bodaj najwydatniejsze jeszcze w Polsce tereny południowej części Zagłębia Borysławskiego. Pamiętamy w prasie naftowej uwagi na ten temat, udowadniające szczegółowo i słusznie, że żądane przez ten ród „brutta" w wysokości do 45% produkcji, stanowią jeden z najważniejszych hamulców naszej produkcji naftowej. Pisał o tym i p. inż. Szczepanowski, główny ideolog obecnej akcji „ABC" i „Gońca". Akcja ta, gdyby osiągnęła swój cel, zabezpieczyłaby, przede wszystkim, dochody, jak ją ktoś nazwał „rodzinnej spółki akcyjnej" rodu Lindenbaumów.

Wniosek drugi, o konieczności popierania „krajowego kapitału" jest truizmem lub naiwnością. Prywatny kapitał krajowy w nafcie to nie pionierzy z czasów inż. Szczepanowskiego (ojca autora artykułów „ABC"), nie ludzie, którzy tworzą coś nowego, lub bodaj utrzymują splendor, przejęty po ojcach. Dzisiejszy prywatny kapitał krajowy w nafcie, to przedsiębiorstwa, które w lwiej części żyją ochłapami po wielkich koncernach, eksploatacją szybów, których tamte koncerny, przy swym wysoko kwalifikowanym, a więc drogim aparacie produkcyjnym już eksploatować nie mogą. Tylko taki prywatny kapitał krajowy mógł się, stosunkowo niedawno zdobyć na oświadczenie, że gdyby odkryto dziś w Polsce „nowy Borysław" to należałoby go natychmiast zagwoździć, bo inaczej to odkrycie sprowadziłoby natychmiastową ruinę dotąd istniejących przedsiębiorstw! Takim prywatnym kapitałem — zróbmy tu jedyny, zresztą bardzo specjalny i również pod wieloma względami sporny, wyjątek dla firmy „Gazolina" — można tylko dalej rujnować nasz przemysł naftowy.

Czy więc należy przyjąć obecny projekt ustawy naftowej? Naszym zdaniem również nie. Trzeba sobie powiedzieć jasno i wyraźnie, że połowicznymi zarządzeniami zagadnienia przemysłu naftowego w Polsce rozwiązać nie można. Nafta żąda zasadniczych, głębokich, uzdrawiających cięć. Problem naftowy trzeba rozwiązać w ten sposób, by na ograniczeniu wyzysku Lindenbaumów nie zarabiał Standard Oil, a na walce ze Standard Oilem nie zarabiali Lindenbaumowie. Trzeba aby został złamany i Standard Oil i paszałyk lindenbaumowski, aby górnictwo naftowe mogło się rozwijać w interesie całości życia gospodarczego i całej Polski.

Chuligaństwo i chłosta

W i e c z ó r W a r s z a w s k i uskarża się na panoszące się wśród młodzieży wiejskiej t.zw. chuligaństwo. Istotnie, napastowanie przechodniów i przejezdnych, bójki i zwady, kończące się niekiedy śmiertelnie, pijaństwo i tym podobne smutne objawy zdziczenia spotyka się na wsi jeszcze dość często, zwłaszcza w bardziej zacofanych okolicach. Z tym stanem rzeczy świadoma społecznie i politycznie, zorganizowana w ruchu ludowym i wiciowym wieś polska prowadzi jednak energiczną i skuteczną walkę. Wyolbrzymianie wagi chuligaństwa w życiu młodzieży wiejskiej, przedstawianie nieomal całej tej młodzieży jako poprostu bandy dzikusów i chuliganów leży niewątpliwie w interesie reakcji, która pragnie zohydzić „chamów" w oczach ludności miejskiej, wykopać przepaść między chłopem z jednej a robotnikiem, drobnomieszczaninem i inteligentem z drugiej strony. Ruch młodowiejski jest najskuteczniejszą zaporą przeciw wszelkiemu chuligaństwu. Tam, gdzie organizacja „Wici" zapuściła głębokie korzenie, giną w szybkim tempie uwłaczające ludzkiej i obywatelskiej godności młodego chłopa zjawiska zdziczenia i chuligaństwa. Wiciowy Uniwersytet Orkanowy w Gaci jest ogniskiem, z którego kultura i świadomość polityczna szeroko promieniują na wieś polską, wyrywając młodzież chłopską z bierności społecznej, która — jako siostra ciemnoty — jest najżyźniejszym gruntem pod wzrost chuligaństwa. A oświata i świadomość wsi, to — demokracja.

I apostołowie wstecznictwa, którzy obłudnie płaczą nad chuligaństwem, w swej walce przeciw demokracji, przeciw ruchowi ludowemu sami usilnie krzewią chuligaństwo, podtrzymują i wykorzystują nawyki i przesądy, pozostałe z czasów ciemnoty i zginania karku, podnoszą je do godności ideologii „narodowej", czynią z nich program „zbawienia" Polski. Kto zachwala krwawe wyczyny band pogromowych, i propaguje chuligaństwo „ideowe", ten nie ma prawa potępiać chuligaństwa „prywatnego", samorodnego.

I nie jest bynajmniej dziełem przypadku, że chuligaństwo samorodne „potępione" zostało właśnie przez W i e c z ó r W a r s z a w s k i, który niedawno razem z P o l i t y k ą, wileńskim S ł o w e m, K r o n i k ą i F a l a n g ą wsławił się prawdziwie ohydną napaścią na Związek Nauczycielstwa Polskiego. Że właśnie ci, którzy krzewienie chuligaństwa uznali za najszczytniejszą misję narodową — krzyczą o chuligaństwie młodzieży chłopskiej. Że organ tego samego obozu, który denuncjuje ZNP i „Wici" właśnie za ich skuteczną walkę z chuligaństwem — zatroszczył się nagle o kulturalny i moralny poziom wsi polskiej. Zalecił nawet środki zaradcze

Tak, organ p. Strzetelskiego zaleca umoralnianie młodzieży chłopskiej przy pomocy... chłosty. Pałka, to stary i umiłowany przez wsteczników środek wychowawczy, wypróbowany jeszcze za Mikołaja I, którego w uznaniu jego zasług historiografia rosyjska uczciła przy domkiem P a ł k i n a. Po stu latach wyciągnął ten środek z zapomnienia p. poseł Sioda, czym uwiecznił się w dziejach naszej kryminalistyki i pedagogiki. Nazwisko pana Siody w diariuszach obecnego Sejmu pozostanie na zawsze zna-

miennym dokumentem epoki, w której żyjemy.*)

Chłosta, to lepszy środek wychowawczy ,niż działalność oświatowa „Wici", niż praca nauczyciela wiejskiego. Chłosta, to nawrót do tych dobrych czasów, gdy Jaśnie Pan ojcowską dłonią karcił niesfornego chama, gdy nikomu przez myśl nawet nie przechodziły takie sprawy, jak ziemia, wiedza i władza dla ludu. Heroldowie powrotu do średniowiecza, wielbiciele nierówności i przywileju, z prawdziwą rozkoszą rozciągnęli by „poddanego" na klepisku i własnoręcznie wyliczyli mu sto czy dwieście kijów: niech zna mores! Może w ten sposób udało by się wybić chłopu z głowy niebezpieczne myśli o reformie rolnej, o oświacie powszechnej, o pięcioprzymiotnikowych wyborach?

I właśnie ci, którzy wkładają w ręce nieuświadomionej młodzieży pałkę na żydowskiego straganiarza sami grożą tej młodzieży pałką za chuligaństwo. Istotna treść faszystowskiego programu „zbawienia" Polski zawarła się w tym podwójnym zastosowaniu pałki: totalizatorzy wszystkich obrządków chcieli by wpierw użyć najmniej uświadomionej części mas dla rozgromienia demokracji a potem tym samym kijem, którym podszczuty młody robotnik czy chłop rozbijał głowy swym postępowym kolegom, zapędzić wszystkich do wspólnego „narodowego" więzienia.

*) Pomysł p. Siódy znalazł uznanie senatora Fudakowskiego.

Ale wielbiciele kija zapomnieli chyba o tym, że każdy kij ma dwa końce.

PRAWDZIWY BORYNA

Centralny Okręg Przemysłowy, to jedna z nielicznych jasnych plam na tle rzeczywistości naszej 1938 r. Nawet przyznając pewną rację takim czy innym zarzutom o celowości poszczególnych fragmentów budownictwa, przerost przy planowaniu momentów niegospodarczych nad gospodarczymi, radosnym pozostaje fakt, że oto aparaturze przemysłowej kraju przybywa nowy, mocny, żywotny odcinek, że właśnie w terenie największego zagęszczenia bezrolnej i małorolnej biedoty powstają ośrodki przemysłowe, które umożliwią tej biedocie produktywniejsze, zamożniejsze i kulturalniejsze życie. Takie lub inne zastrzeżenia nie mogą przesłonić niewątpliwego faktu, że budownictwo C.O.P., to pewien postęp właśnie na tym odcinku, gdzie mieliśmy w ciągu ostatnich dwudziestu lat same niemal klęski i straty: na odcinku rozbudowy sił produkcyjnych kraju.

Tym bardziej jest rzeczą przykrą, kiedy właśnie na przykładzie tego budownictwa występują szczególnie dobitnie i jaskrawo zasadnicze, strukturalne wady naszego gospodarstwa społecznego. I nie chodzi tu już nawet o ten jasny, prosty, niewątpliwy fakt, że budownictwo C. O P., to, w najlepszym razie, szklanka wody na wielki rozpalony kamień, że to wszystko mało, mało, mało, że Stalowa Wola jest jedna, a różnych Mrzygłodów, Chłopskich Bied i innych Nędz tysiące. Chodzi o to, że nawet na tym ograniczonym odcinku, gdzie to budownictwo ma swe pozytywne znaczenie, nawet w tym trójkącie, wyrysowanym piórkiem autorów planu na mapie Polski uwydatnia się zasadnicze, podstawowe przeciwieństwo naszego życia gospodarczego: dla jednych trud i ochłap, dla drugich gotowe zyski.

Oto w ramach budownictwa C. O. P. przeprowadzono poszukiwania złóż rudy. Przy pomocy rzeczywiście udanej propagandy wciągnięto w tę akcję sporą część chłopów okolicznych. Poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Chłop o symbolicznym nazwisku Boryna odnalazł — między innymi — wartościowe złoża rudy żelaznej. Odwiedzili go dygnitarze, wręczyli mu uroczyście, przy terkocie aparatów filmowych, przy asyście dziennikarzy tysiąc złotych i pojechali. Auta pomknęły gościńcem. Boryna został. Kto wie, może on, może jego syn będzie pracował w kopalni na odkrytym przezeń złożu, może będzie w niej zarabiał parę złotych dniówki. W każdym razie — eksploatować tych złoży Boryna nie będzie.

Kto je będzie eksploatował? Znajdujemy imiona w prasie gospodarczej. Eksploatację złoży zabezpieczyły sobie różne bogate koncerny metalurgiczne.

Tu tkwi ta podstawowa tragedia naszego gospodarstwa. Trudem Borynów nie rośnie dobrobyt Borynów i ich braci.

ANDRZEJ STRUG i KAROL IRZYKOWSKI
DWAJ LUDZIE — DWA ŻYWOTY

III.

A jednak dobrze się stało, że redakcja „Pionu" otwarła Irzykowskiemu łamy dla jego chwalebnego i pochwalnego słowa o Strugu. Dobrze się stało, bo artykuł ten, dopełniając portretu zmarłego powieściopisarza, dopełnił także miary w obrazie zdolności i charakteru żyjącego krytyka. Dzięki niemu otrzymaliśmy oryginalną, jedyną w swoim rodzaju konfrontację dwóch współczesnych sobie żywotów ludzkich, z których jeden przebiegł górą, a drugi — doliną. Dwóch żywotów, kutych w kruszczu jakże różnej wartości, ale jednako znamiennych dla okresu, który był świadkiem heroicznych zapasów o Polskę. Dwóch żywotów, będących jakby typem dwóch prądów przeciwnych, dwóch uosobionych wątków duchowych, które krzyżowały i krzyżują się ze sobą. Jeden idzie przebojem, walczy, dąży naprzód i stara się porywać innych; jest bodźcem do czynu; jest duchem podniety, inicjatywy i ryzyka. Drugi jest duchem legowiska, czai się z tyłu, mędrkuje, zabiega, jeśli może, drogę postępowi; jeśli musi, idzie po jego śladach, lecz przedrzeźnia jego kroki i licytuje jego hasła; żartuje z posiewu jego krwi i, płaski żart swój strojąc w pozory bluźnierstwa, dla twarzy wiecznego poddańca wypożycza maskę herezjarchy — strącacza bożków. Gdy jednak prześlawodany przezeń prąd bierze górę, prześladowca bez wahań staje pod jego sztandarem i odzywa się: jestem!

***

Andrzej Strug i Karol Irzykowski! Dwaj ludzie — dwa żywoty!

***

Wśród ciemnej nocy, wśród powszechnego snu niewoli, zastęp młodzieży powstaje przeciw pętom zewnętrznego ucisku, przeciw hańbie wewnętrznego z uciskiem tym pojednania. Drwi z nich Karol Irzykowski... Andrzej Strug jest z nimi!...

Młodzi bojownicy widzą tragizm nierównej walki, ale nie poddają się zwątpieniu. Mierzą siły na zamiary. Odgadują źródło nieprzebranej potęgi narodu, nietknięte, nie ruszone od wieków. Źródła, drzemiące w tajnikach ludu. I ku źródłom tym dążą, jako ku nowej Polsce; ku jedynej, jaka dźwignąć może sprawę wyzwolenia. Andrzej Strug kroczy w ich czołowym szeregu.

Karol Irzykowski w sprawę wyzwolenia nie wierzy, staje wpoprzek dążeń rewolucyjnych i pyta sceptycznie: *„...czy gryzienie kajdan zaimponuje temu, który je nałożył?"*.

Ruch rewolucyjno-powstańczy coraz głębiej wchodzi w podziemia. W podziemiach kuje broń przeciw rządom zaborcy, za którego plecami rozsiadło się trudzie na chłopskim i robotniczym bractwo „samoniewoli narodowej". Nieprzyjaciel odpowiada wzmożeniem teroru. Najdzielniejsi ludzie padają od kul sołdackich lub giną na szubienicy. Andrzej Strug, sam dzieląc niebezpieczeństwo walki, daje świadectwo sławie bezimiennych bojowników. Młodzież czyta natchnione karty, chyli czoła ze czcią i szepce: bohaterowie!

Karol Irzykowski przedrzeźnia: *„bohaterszczyzna!"*.

Nadciąga wojna. Rewolucjonista polski, w przewidywaniu twardej służby, sam na siebie wkłada rygor i regulamin wojskowy. Poddaje się komendzie Wodza. Andrzej Strug jest chorągwią i pieśnią tego orężnego czynu.

Karol Irzykowski, odwracając się od gróźb wojny i rewolucji, skrzeczy zza węgła: *„O, Pytio, poco mnie straszysz?... Na zachodzie powstają już stowarzyszenia... antihałasowe!"*.

Ale „stowarzyszenia antihałasowe" — wbrew przewidywaniom znakomitego „statysty" — nie zapobiegły wybuchowi wojny. Godzina losu wybija. Piłsudski rzuca miecz polski na szalę. Pali mosty za sobą. Andrzej Strug zamienia pióro na karabin i jako żołnierz, przekracza kordon niewoli.

Karol Irzykowski ma na ten wypadek już z góry „wykuty"... aforyzm: *„Kto pali mosty za sobą..."* Dalszy ciąg znamy.

I, oto, etap ostatni. Andrzej Strug nie żyje... Ulicami stolicy ciągnie orszak pogrzebowy, odprowadzając zwłoki pisarza na miejsce wiecznego spoczynku. „Proletariat Warszawy wyroił się, zalał cmentarz, głuchym szumem żegna swego barda. Pochyliły się czerwone sztandary partii nad otwartą mogiłą". A z tym hołdem cywilnym łączy się chwała wojskowa... Lecz któż to teraz najgłośniej chwałę tę opiewa?

Karol Irzykowski.

***

Nie każdemu jest dano odgadywać czasy nadchodzące. Tylko geniuszom udaje się wnikać tak głęboko w nurt zdarzeń i stosunków współczesnych, że pod powierzchnią dnia dzisiejszego dostrzegają zarys rodzącego się jutra.

Takiego wyjątkowego daru przenikliwości nikt żądać nie ma prawa od krytyka, choćby najzdolniejszego, lecz powołanego przede wszystkim do analizy i komentowania twórczości literackiej swego pokolenia. Daru takiego nie oczekiwaliśmy i nie oczekujemy od Karola Irzykowskiego. Ale czego mamy prawo oczekiwać i żądać od każdego krytyka, jako nieodzownego warunku jego powołania, to umiejętności rozumienia zjawisk i prądów, które stanowią treść jego czasów; rozpoznawania i rozumienia głosów, które treść ową najgłębiej wypowiadają. Karol Irzykowski od początku swej działalności zajął jedno z najwybitniejszych miejsc wśród tych, którzy *nie rozumieją*. Dlatego w rocznikach naszej krytyki i literatury stał się on, mimo wszystko, pozycją niezwykłą. Gdy inni równie, jak on, upośledzeni, poprzestawali dobrotliwie na horyzontach cielętnika, on, uwiedziony pychą, chciał być groźnym buhajem, który wstrząsa racicami ziemię i rogami podważa posady świątyń. I, być może, był nim naprawdę, tylko że ten buhaj miał przez nos przebite kółko mosiężne, za które spokojnie prowadziła go za sobą mama — tromtadracja. „Kuźnia bluźnierstw" Irzykowskiego dymiła i parskała wszystkimi ogniami buntu: tylko, że był to bunt skierowany przeciw tym, którzy usiłowali rozkuć kółko mosiężne, wiszące u nosa bluźniercy.

***

Na rubieży wieków XIX i XX, gdy wstępował w życie przyszły autor „Kuźni bluźnierstw", trzy wielkie prądy dziejowe szły przez Polskę: socjalizm — w dziedzinie społecznej, idea niepodległości — w dziedzinie politycznej, neo - romantyzm („Młoda Polska") — w poezji. Prądy te, z trzech różnych wypływające źródeł, zasilały się wzajemnie i ku jednemu zmierzały ujściu: ujściu w walce o wyzwolenie; o wyzwolenie nietylko z pęt obcych, ale i z własnych zastarzałych grzechów krzywdy chłopskiej i wyzysku pracy robotniczej, umysłowej parafiańszczyzny i duchowego bezwładu.

Jak złoty wiek Kochanowskich, jak „Kuźnica" Kołłątaja, jak wileńskie gniazdo Mickiewicza, tak samo renesans duszy polskiej na progu wieku XX, był odbiciem i odroślą idei zachodnio - europejskich, ale odroślą, która się tak głęboko w glebę polską wkorzeniła, tak żywotnymi tej gleby zatętniła sokami, że kwiaty i owoce, które z niej wyrosły, stały się narówni z tamtymi dawnymi, klasycznym ducha polskiego wyrazem. Że walka o wolność polityczną czynnie — w osobie Piłsudskiego i Daszyńskiego, Perla i Wasilewskiego, Mireckiego i Jodko - Narkiewicza — zespalała się z ideą odnowy i przebudowy społecznej, to było naturalnym wynikiem przemyślenia polskiej racji stanu, która mówiła, że Polska zdoła wybić się na niepodległość tylko siłami ludu. Ale co w dziejach naszych było zjawiskiem świeżym i prawdziwie odrodzeńczym, to fakt, że obok rewolucjonisty i żołnierza stanął także — ramię w ramię z nimi walcząc — duch polskiej poezji. Gdy wysiłkom „Kuźnicy" Kołłątajowskiej wtórował w poezji współczesnej częstokroć rechot dworactwa (Trembecki!) opiewającego słabostki króla lub łaski carowej; gdy w r. 1830 — 31 poezja, która najszczytniejszą grała pobudkę powstaniu, opuściła jego szeregi, aby później na jego gruzach, na emigracji, wznieść psalm żalu, gniewu, rozpaczy i odkupienia, — rewolucjonista i żołnierz sprawy polskiej w przededniu wojny światowej zawsze miał i czuł obok siebie hetmanów polskiej mowy i pieśni. Co więcej: słowo poetów, ich utwory i nazwiska, były — rzec można — dla wielu bojowników pierwszym rynsztunkiem, w jaki zbroili się, idąc na walkę, która nie wróżyła rychłego zwycięstwa.

Stanisław Wyspiański kładł podpis pod pierwszą do społeczeństwa odezwą, wzywającą do składek na broń dla przyszłego boju o wolność. Żeromski ślubował wierność żołnierzowi - demokracie, w którym

widział dźwignię przebrażeń społecznych. Strug sam stanął w szeregu rewolucjonistów i żołnierzy. Ta spójnia czynu i słowa, a zarazem niepodległości i demokracji, była czymś, czego nie rozumiał Irzykowski. Nie zrozumiał socjalizmu, nie zrozumiał walki o niepodległość, nie zrozumiał ani Wyspiańskiego, an Żeromskiego, ani Struga. Wszystko to razem odepchnął od siebie wzgardliwym mianem „bohaterszczyzny" i „bzika militarnego". W przededniu wojny światowej zastrzegał i wypraszał sobie stanowczo, aby go nie „straszono" pustymi alarmami „hałasów europejskich". W przededniu walki zbrojnej o niepodległość, śmiał się z młodzieży gotowej do ofiar, których niebawem już od nich zażądać miała ojczyzna: ducha tej młodzieży przyrównywał do znachora — owczarza, „który na wszystko ma jedno radykalne lekarstwo — puszczenie krwi" (*str. 61*). W przededniu bliskiej już chwili, gdy przyszłość nasza zawisła od tego, czy na szalach wojny nie zbraknie, wśród obcych mieczów, także szabli polskiej, Irzykowski nie widział pilniejszego zadania, jak wykazywać bezowocność szabli w polskich rękach i daremność wszelkiego krwi ofiarnej posiewu. „Posiew krwi? — urągał tym najśmielszym i najenergiczniejszym, tym, którzy mieli odnowić tradycję dawnych walk polskich: — pozostawmy tę szlachetną złudę tym, którzy potrzebują wrażenia, że nie umierają napróżno" (*str. 87*).

Irzykowski nie był jednym z tych, którzy, nierozumiejąc cudzej idei, schodzą jej z drogi i stają na uboczu. Nie miał tej pokory, o której pisał Słowacki, „by żadnego nie kląć ruchu". Nie. On, nie rozumiejąc wyklinał. Nie rozumiejąc, bluźnił.

***

Czemuż w swojej *kuźni bluźnierstw* nie wytrwał? Dlaczego do końca nie pozostał wierny swej sprawie? Błąd, gdy go się przemyśli aż do końca; gdy go się wyczerpie aż do dna, przestaje być błędem i prowadzi nieraz do przedsionka prawdy, jak bluźnierstwo, gdy jest konsekwentne i uparte, prowadzi do afirmacji Boga. I czyż wogóle myśl ludzka, szukająca prawdy, ma inną przed sobą drogę, niż posuwać się naprzód, zgłębiając kolejno wszystkie konsekwencje błędu? Kolumb, udając się w nieznaną podróż przez ocean, mylił się, gdy przewidywał, że odkryje drogę do Indyj Wschodnich. Mylił się, gdy startował. Ale gdyby w swej pomyłce nie wytrwał i cofnął się z drogi, nie odkryłby Ameryki, która z kolei stała się etapem do morskiej drogi ku Indiom.

Czemuż — powtarzamy swe pytanie — nie wytrwał w swoich błędach Karol Irzykowski? Czemu uląkł się swej własnej myśli i nie poszedł za nią aż do końca: aż do tej mety krańcowej, na której teza przesila się w antytezę. Stanowisko, jakie zajął przed laty w swej *kuźni bluźnierstw*, było potwornym błędem. Było anachronizmem, było grzechem przeciw duchowi dziejów. Było wykolejeniem się przeciw człowieczeństwu i przeciw polskości. Błędem było szarpać Czyn polski, rodzący się w sercu młodzieży, kleszczami sceptycyzmu. Błędem, jeśli nie małodusznością, było wtenczas, gdy zastęp nieustraszonych oderwał się od bryły powszechnego bezwładu, rzucać tym najśmielszym pod stopy ciernie zwątpienia i szyderstwa, sączyć w ich dusze skrupuły, obniżać wartość poświęcenia, śmiać się z bohaterstwa i przedrzeźniać je „bohaterszczyzną". Nade wszystko zaś błędem było w owej chwili, gdy geniusz polski — w osobie Piłsudskiego — w sponiewierany naród wprowadzał *funkcję siły*, geniuszowi temu zagradzać drogę twierdzeniem, że „nie w ramieniu, lecz w oku leży punkt ciężkości świata"*). Zapewne: oko — narząd kontemplacji — jest niemniej cenne od ramienia — czynnika siły, przekształcającej rzeczywistość; może nawet cenniejsze. Ale gdy oko skazane jest na to, aby świat oglądać jedynie przez kratę więzienną, błogosławiony jest czyn ramienia, który tę kratę rozwali!

Pisarz, który temu ramieniowi „bluźnił" wtenczas, gdy ono właśnie zbroiło się do walki, automatycznie stawał w szeregu tych, którzy świadomie lub bezwiednie, rozmyślnie lub mimowoli, strzegli nietykalności krat więziennych, okuwających Polskę. W tym samym też antyniepodległościowym i antyrewolucyjnym szeregu stawała i próba rehabilitowania owej *polityki pozytywizmu*, którą Irzykowski podówczas tak namiętnie przeciwstawiał *polityce miecza*. Cóż mówić o człowieku, który miecz wyklina w przededniu wojny? I niewątpliwie, mimo swych ognistych bluźnierstw, Irzykowski był tylko śmieszny wtenczas, gdy złudzony ciszą, jaka zaległa na chwilę przed kataklizmem pożogi światowej, ubolewał nad „brakiem erotyzmu" w nowelach Struga, zaintrygowany kwestią, „jak też jego bohaterzy *to* załatwiają?". Jak oni to załatwiają? Bo przecież — skarżył się — ciągle są „samotni, ciągle w drodze, nie mają czasu ani myśleć, ani kochać, urzeczywistniają wciąż tylko poświęcenie się". Tak; tylko śmieszny był ów „bluźnierca", któremu zdawało się, że demaskuje bohaterstwo wtenczas, gdy usiłował sprowadzić je do sypialni*).

Jednakowoż dziś, po upływie półtrzecia lat dziesiątka, gdy, raz jeszcze wracając do *Kuźni bluźnierstw*, czytamy jej aforyzmy i wśród nich odnajdujemy owe dręczące niepokojem pytania, z jakimi Irzykowski zwracał się do bohaterów pierwszych nowel i powieści Struga, gdy wskrzeszamy w sobie i aktualizujemy nerwowy ton tych pytań, dziś, wbrew woli naszej, coś w nich zazębia się o nasze nowe przeżycia; coś, wbrew naszej woli, nadaje im nową, uwspółcześnioną wymowę. I, mimowoli łącząc się z niepokojem autora starych „bluźnierstw", pytamy: „Czy ludzie tak nieskomplikowani, prostoduszni (mogli i) mogą podołać budowie nowej skomplikowanej kultury? Czy ten nowy typ ludzi nie jest (i nie był) przypadkowo jakimś cofnięciem się, czy nie zostało tu coś zatracone? Czy nie uprawiamy może bałwochwalczej czci bohaterskich gburów?"

Bluźnierstwo? — pytał ćwierć wieku temu Irzykowski.

Tak! — odpowiedziała historia. Przed laty 25-ciu mogło to być tylko bluźnierstwem. Tylko bluźnierstwem: bo przecież kwiat tej młodzieży, której zarzucał on „bohaterszczyznę", poległ śmiercią prawdziwych bohaterów; na ich to niezliczonych mogiłach, najczęściej bezimiennych, wsparły się właśnie zręby nowego Państwa, granice nowej Rzeczypospolitej. Tak, echa od mogił idące, brzmią wciąż niepożytą chwałą heroizmu, lecz cóż się stało z heroizmem żywych, a niekiedy z ich prostą, zwykłą, ludzką wiernością dla — samych siebie? Aby odcyfrować po-

*) „Słowo i czyn", str. 59.

*) Irzykowski uprzedzał w ten sposób to, co sam później miał niesłusznie a perfidnie zarzucić Boyowi-Żeleńskiemu.

wikłany tekst sytuacji, należy przypomnieć, że w nim obraz rzeczywisty mieni się z wyobraźnią, przeszłość zachodzi na teraźniejszość; hymn uroczysty splata się z prozą powszedniości. Dziś bowiem „ludzi podziemnych" Struga znamy nietylko z jego powieści i nowel. Z kart książek podjęła ich bajka życia, o ileż bogatsza w niespodzianki od najbardziej wybujałej fantazji. Z „ludzi podziemnych" stali się bohaterowie Struga ludźmi osiadłymi na przyzwoitych stanowiskach, niekiedy na najważniejszych placówkach wielkiego Państwa. Niektórzy stracili skrzydła witeziów, które im przypinał Wyspiański, ale zyskali zato intratne tytuły prezesów i dyrektorów, integralnie związane z systemem, któremu ongi nieubłaganą wypowiadali walkę.

„Gdzie jesteś rycerski Belino? Gdzie jesteś mężny Adamie? Kędy twój pióropusz Kazimierzu, Gustawie, Leonie?" — powinienby dzisiaj pytać Irzykowski. A jego pytanie byłby podchwycił też i Andrzej Strug.

Lecz, oto, rzecz dziwna! Im wyżej po szczeblach bajecznej kariery wznosili się bohaterowie Andrzeja Struga, tym wyraźniej stygło dla nich serce ich dawnego piewcy, ale zato, tym cieplej biło ku nim serce dawnego bluźniercy a nowego akademika literatury. Aż w pewnym momencie odwróciły się role: Andrzej Strug przestał swoich dawnych towarzyszów rozumieć, Karol Irzykowski rozumiał ich coraz lepiej! Doceniając w pełni wartość i urok powodzenia, Irzykowski przebaczył dawnym „ludziom podziemnym" ich rewolucjonizm, ich powstańczość, ich gorączkę proletariacką, ich sny o Termopilach. W pokorze i czci skłonił głowę przed „krwi posiewem". skoro z posiewu tego wyrosły szarże i dostojeństwa, godności i autorytety, banki i akademie.

Dziś już nie pyta on o to, czy „ludzie tak nieskomplikowani... mogą podołać budowie nowej skomplikowanej kultury?.. Czy ten nowy typ ludzi nie jest przypadkowo jakimś cofnięciem się, czy nie zostało tu coś zatracone?"... Od dłuższego czasu nie pyta on już o nic. A przecież jakże chętnie posłuchalibyśmy, dzisiaj z ust Irzykowskiego dalszego ciągu tych pytań, które niegdyś były tylko impertynencją i zniewagą, lecz po latach brzmią, jak zachęta do diagnozy!

Ale obłaskawiony „bluźnierca" spalił swoją „kuźnię" akurat w tym samym czasie, gdy bluźnierstwa jego mogły nabrać zbawczego ostrza prawd budujących. Jak przed ćwierćwieczem, tak samo i później, wbrew Strugowi, który szedł górą, wolał pójść doliną. Tkwił niegdyś w obozie większości, i — po stronie większości pozostał.

Dlatego można powiedzieć, że jeśli wiary samemu sobie dochował Andrzej Strug, to w pewnym sensie dochował jej sobie i Karol Irzykowski. Obaj brali udział w walce o przyszłość Polski. Tylko — stale po przeciwnych stronach.

ZBIGNIEW ZIEMSKI.

List do Sabiny Fabińskiej*)

„Wytrwam"...

Odetchnęliśmy z głęboką ulgą, gdy na pożegnanie powiedziałaś nam, Sabinko, to słowo.

My, czytelnicy, widzieliśmy twoją walkę, twój trud i mękę. Staraliśmy się poznać cię i zrozumieć.

Teraz, gdy odchodzisz w nowe — napewno inne, napewno lepsze — dni, chcemy jeszcze raz przemyśleć wszystko o tobie.

Powiśle. Ulica Solec — koło mostu Poniatowskiego. Tak, to tutaj... chociaż nie możemy znaleźć kooperatywy spożywczej ale znaleźliśmy skład węgla. I ta kamienica na przeciwnej stronie ulicy — trochę naukos, tak, to napewno jedna z tych dwóch kamienic z „Kwitnącego żyta". Widok na Wisłę zasłoniły nowoczesne gmachy.

Ale, gdy ty, Sabinko, jako sześcioletni brzdąc, chodziłaś z innymi dziećmi po „koks", nie było tu jeszcze wtedy tych wspaniałych budynków — tylko — „zielone górki" i wolne puste miejsca, aż po sam brzeg Wisły.

Wyprawy po „koks". Małe dziecinne rączki zdobywają dla swego domu upragnione ciepło. Nie wiedziałaś tego, dzielna mała, Sabinko, że swoim pogrzebaczem rozgrzebywałaś wtedy nie tylko „kupy parujących śmieci" — rozdrapywałaś również nasze serca, odrzucałaś w nich śmieci obojętności, dokopując się i tu do „koksu", do ciepła.

Ciężkie było twoje życie. Toczyło się poprzez głód i niedostatek w kamienicy pełnej wymysłów, kłótni o zlew albo o strych, awantur pijackich, kradzieży, rewizji. Rosłaś wśród tego wszystkiego, dziewczynko z Solca, jak zagubiony kłos żytni, niby jeden z tych kłosów, które również jakimś cudacznym przypadkiem zbłądziły na zakurzony, piaszczysty plac Powiśla.

Jako dziecko — mały rezolutny człowieczek — starałaś się zrozumieć i przeniknąć wszystko, wszędzie wścibiając swój ciekawy nosek.

Śledziłaś, podsłuchiwałaś z zamarłym sercem, — wystraszona własną zuchwałością, w pełnej świadomości, że tego robić nie wolno.

Małego człowieczka niepokoiły również kwestie religijne, wyłaniały się przed nim zawiłe zagadnienia sprawiedliwości, odpowiedzialności, przy czym czarne diabełki z czerwonymi widłami nie małą odegrały rolę.

Marzyłaś o czerwonym berecie, o białym kołnierzyku, o fartuchu uczniowskim z falbankami. Zazdrościłaś koleżankom, dla jednych byłaś zła i nieustępliwa, dla innych — dobra. Lubiłaś się uczyć. Głód wiedzy mogłaś zaspakajać tylko dzięki własnej pracy — wcześnie trzeba było zacząć zarabiać korepetycjami na swoją naukę.

Ale w miarę jak podrastasz, wiesz, co się dzieje, Sabinko? — Zatracasz w oczach naszych rysy żywej dziewczynki, stajesz się uosobieniem jednego tylko zaciętego dążenia, jednej zawziętej myśli — dojścia do zamierzonego celu, do matury. Życie twoje wypełnia tylko nauka i twarda nieustępliwa walka o prawo do tej nauki.

Prawda, chwilami wśród tej walki zdumiewała cię i oburzała dostrzeżona krzywda społeczna, ale oburzała cię tylko, jako jeszcze jedna przeszkoda na twojej drodze.

Poza tym nie miałaś żadnych zainteresowań osobistych, żadnych uniesień młodzieńczych, a przecież czytałaś tak dużo. Nie chodzi tu nawet o jakieś „rzeczy poważne" (na nie przyszedł czas później), ale nie miałaś żadnych ot, takich sobie zwykłych dziewczyńskich marzeń, zamiłowań.

*) Bohaterka powieści Czesławy Sobiesiak - Kamińskiej „Kwitnące żyto".

— Nie było na to czasu — mówisz — nauka, troska o zarobek, użeranie się w domu o każdą kruszynę nafty, o miejsce do odrabiania lekcji — potem śmierć ojca, choroba matki, troska o rodzeństwo — to wszystko zabrało mój czas, pożarło moje marzenia.

Tak, może masz rację. Ale czy myśl — żywa młoda myśl — potrzebuje wiele czasu, aby zaistnieć? Znalazł się przecież czas, gdy chciałaś nauczyć się jeść nożem i widelcem.

— Och, ten nóż i widelec! Gdybyście mogli pojąć, co to jest poczucie własnej niższości! Co to jest być narażoną na wyśmianie, na kpiny! — Możliwe. Możliwe. Powtarzamy, że to ty pewno masz rację, a my, którzy chcielibyśmy cię tu widzieć hardą i zbuntowaną, my właśnie nie mamy poczucia rzeczywistości. Ale wrażenie pozostaje wrażeniem. Wydajesz się nam niezawsze prawdziwa. A może to nadmiar trudów i nieszczęść, które spadają na ciebie przeszkadza nam zaakceptować prawdopodobieństwo twej postaci? To, co znosisz, zdaje się przekraczać siły zwykłego człowieka.

A przecież — strach pomyśleć! — innym dziewczętom z twojej kamienicy było jeszcze gorzej. Przypomnij sobie małą Dankę, jak mówiła do ciebie na Wielkanoc: — „Mamusia upiła się i bije nas... tatusia w wielki piątek rano na Ordynaku złapali, jak chciał chłopu z woza worek kartofli gwizdnąć". Czy mogłabyć uczyć się, gdybyś miała takich rodziców?

Mężczyźni — pijacy, złodzieje, kobiety — baby kłótliwe i plotkujące — i między nimi dzieci. W trzecim oddziale szkoły powszechnej trzy dziewczynki otrzymały nagrody: ty, Elżbieta Walkowska i Antonina Szymczakówna. Jak było w domu u tych Walkowskich i Szymczaków! Obie dziewczynki były chyba równie zdolne jak ty. Czy dobrnęły do matury? Nie wiemy. Wiemy tylko, że chociaż dużo musiałaś znieść przykrości od swoich najbliższych, dużo sił stracić w walce z ich niechęcią do twojej nauki, — to przecież dom twój był jakgdyby wyspą w morzu zła. Występek — oddzielony był od ciebie ścianami twojej izdebki, tkliwym kochającym sercem ojcowskim i troskliwością wiecznie zapracowanej matki.

Poznałaś, Sabinko, złość, zawiść i podłość ludzką. Wszystko, jak gdyby się sprzysięgło przeciwko tobie.

„Doły" i „góry" społeczne ciężkie kłody rzucały ci pod nogi. Chciały cię zgnębić, złamać...

„Doły" zawistne nie mogły ścierpieć, że chcesz być czymś lepszym od nich, że szykujesz się na „hrabinie".

„Góry" zdumione twoim szlachetnym zuchwalstwem przyjęły cię chłodem lodowatym.

Chociaż... Tu mamy znów zastrzeżenia: Twoje koleżanki w IV klasie gimnazjum nie były, Sabinko, z „dobrych domów".

Czy dzieci mogą być tak okrutne? nawet te bogate? I to wszystkie? Cała klasa?

W siódmej klasie promień słoneczny wpadł w twoje mroczne życie. Poznałaś Kazię. Przez nią dopiero stałaś się pełnym człowiekiem: otworzył się przed tobą nowy nieznany świat... poczułaś się związaną mocnymi niewidzialnymi nićmi z milionami tych szarych maluczkich, z których wyrosłaś, odnalazłaś „drogę do wyzwolenia z otchłani" smutnego beznadziejnego trwania... ujrzałaś nowe życie.

Pomyśl, jakże biedni są ludzie, którzy na drodze swego życia nie spotkają duszy pięknej, której można ufać i wierzyć.

Gdy na ciebie przyszło zwątpienie, gdy zawiodła nawet... matka, gdy rozpacz chciała cię powalić „przed samymi drzwiami do lepszego jutra" — Kazia podała ci rękę. Mocną, szczerą rękę przyjaciela.

Bez tej ręki cały trud twej męczeńskiej młodości, cała twa nieustępliwa walka o „lepszy dzień" poszłyby na marne.

Sabinko, człowiek, który dał ci tak wiele, nauczył cię chyba również sztuki wytrwania. Dlatego to wierzymy, że ostatnim, jakie usłyszeliśmy od ciebie, słowem zwyciężysz wreszcie swój zły los.

S. STANISZEWSKA.

KSIĄŻKI

Jakub Bleiberg: Wizerunek własny Kartezjusza — Warszawa, 1938 — „Nasza Księgarnia". Praca p. Bleiberga o wielkim reformatorze filozofii znakomicie łączy podziwu godną popularność i przejrzystość wykładu z prawdziwie naukowym poziomem analizy. Przełomowe znaczenie Kartezjusza w dziejach myśli ludzkiej, wyrwanie tej myśli z sztywnych i historycznie przeżytych (choć w swoim czasie niewątpliwie płodnych) abstrakcyj filozofii scholastycznej, zwycięstwo swobodnego badania nad autorytatywnym dogmatyzmem wieków średnich, wyzwolenie intelektualne jednostki — wszystko to, co stanowi nieprzemijającą wartość „Rozprawy o metodzie", udostępnione zostaje czytelnikowi, nawet nieprzygotowanemu filozoficznie. Jeżeli w praktyce Kartezjusz nie zdołał uwolnić się całkowicie od zwalczanej przez siebie tradycji filozoficznej, to w zasadzie, w swej głębokiej autobiografii intelektualnej, nie pozostawił kamienia na kamieniu z rozbudowanego w ciągu wieków gmachu scholastyki. Jego „Rozprawa o metodzie" — to dzieje zwycięskiej walki o wolność nie tylko jednostki, ale i rodzaju ludzkiego, walki z autorytetem w dziedzinie myślenia, po której później przyszła kolej na równie zwycięskie zwalczenie innych, bardziej już realnych autorytetów. Praca p. Bleiberga, wskazująca historyczne miejsce Kartezjusza w rozwoju filozofii, zbliża do nas wielkiego myśliciela, uczy rozumieć go i cenić.

Przewodnik Literacki i Naukowy 1933 — 1935. Kontynuacja „Książki w bibliotece". Praca zbiorowa pod redakcją *Wandy Dąbrowskiej*, W-wa, 1937. Poradnia Biblioteczna Warszawskiego Koła Zw. Bibliotekarzy Pol. Z zasiłkiem Min. W. R. i O. P. — zł. 9.50. Obszerny, ponad 500 stron liczący tom, opracowany przez siły fachowe, omawia przeszło dwa tysiące książek. Każda pozycja podaje opis bibliograficzny książki, cenę, treść wzgl. temat i poruszone zagadnienia oraz charakteryzuje jej wartość praktyczną. Szczególną wartość posiadają doskonałe metodycznie skorowidze, zwłaszcza skorowidz literatury pięknej. Wydawnictwo to, przeznaczone głównie dla publicznych bibliotek ogólno - kształcących, przyniesie niemałą korzyść każdemu, kogo interesuje książka, przede wszystkim zaś pedagogom, oświatowcom i pracownikom pióra.

Dawid Lloyd George. Wspomnienia wojenne Tom I. Warszawa 1938. Towarzystwo Wydawnicze „Rój", str. 375. Tłumaczyli: *Mieczysław Kwiatkowski i Antoni Pański.*

Pamiętnikarską literaturę przekładową wzbogaciły wspomnienia znanego polityka angielskiego i męża stanu D. Lloyd Georgea. Tom pierwszy tych wspomnień obejmuje czas od chwili wybuchu wojny światowej do końca grudnia 1916. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że jest to suchy kronikarski pamiętnik, pisany beznamiętnie z flegmą angielską. Lloyd George, przeciwnie, w swojej krytyce ówczesnych stosunków i osób nie sprzeniewierzył się swemu bojowemu temperamentowi. O motywach, którymi się Lloyd George kierował, pisząc swoje wspomnienia, mówi sam najwyraźniej: „...opowiedzieć to trzeba, jeżeli chcemy uniknąć w przyszłości powtórzenia się takiej okropności. Lepiej, żeby prawdziwe fakty były znane. Nie roszczę sobie pretensji do tego, żebym znał je wszystkie; niektóre jednak z nich znam lepiej niż moi współcześni. Te właśnie fakty pragnę jak najwierniej przedstawić na stronicach mojej książki".

W oryginale wspomnienia te zawarte są w sześciu tomach. Tom niniejszy odpowiada pierwszemu i drugiemu tomowi oryginału, tłumacze bowiem w porozumieniu z Lloyd Georgem usunęli sporo dokumentów i opisów, mających znaczenie głównie dla historyków i specjalistów. Do najciekawszych należy rozdział p. t. „Sprzymierzeni i Stany Zjednoczone", a także charakterystyka lorda Kitchenera.

W cieniu latyfundiów

Ankieta cyborska

Cybory to wieś w powiecie lidzkim, województwa nowogródzkiego. Nie jest to wieś, któraby odbijała czymś bardzo specjalnym od całego szeregu innych wsi Nowogródczyzny. Nowogródczyzna ma 62% gospodarstw karłowatych tzn. gospodarstw poniżej 5 ha. Rodziny żyjące na tych gospodrastwach są zmuszone szukać jakichś zarobków dodatkowych, które można znaleźć: 1) w lasach państwowych lub prywatnych, 2) na gruntach pańskich, 3) przy robotach publicznych, 4) w przemyśle ludowym.

Wszystkie te źródła dochodu razem wzięte nie są zdolne wykarmić lub nawet dokarmić tych setek tysięcy wieśniaków kresowych, którzy smagani biczem głodu, albo wpadają w stan beznadziejnej apatii, albo lokują swą nadzieję poza granicami realizmu politycznego. Olbrzymie obszary gruntów zajętych przez nienaruszone dotychczas latyfundia magnaterii zajmują często 50% obszaru całego powiatu czy gminy. Rzesze chłopstwa o olbrzymim przyroście naturalnym ściśnięte na swych wąskich (często ½ metrowej szerokości) zagonach pomiędzy rozległymi terenami magnackiej własności poddane są nielada próbie wytrzymałości społecznej.

***

Wieś Cybory liczy 42 gospodarstwa. W tym, olbrzymia większość to gospodarstwa karłowate. Grunta ich położone na niewielkiej polanie państwowego lasu nie są zbyt urodzajne. Poza tym daje się we znaki brak lasu, łąk i pastwisk. Drzewo mieszkańcy Cybor kradną z lasu państwowego (kradną — jak twierdzą — bo muszą i niestety wcale się tego nie wstydzą i przed nikim oprócz administracji leśnej i sądu nie ukrywają). Za paszenie krów w lesie i zbieranie trawy lub grzybów płacą... jeśli inaczej nie można. Sytuacja wsi, jako typowej wsi kresowej, różni się tym od innych położonych w Polsce B wsi, że mniejsza jest jej zależność od właściciela przyległych terenów. Gdyby na miejscu państwa właścicielem lasu był jakiś książę, czy hrabia, mieszkańcy Cybor staliby się jego „niewolnikami", jak to jest na terenie latyfundiów prywatnych. Nie posiadający bowiem ani dostatecznej ilości środków do życia, ani pastwiska, ani łąk, ani lasu, wieśniak jest na łasce i niełasce swego pana, który tylko *de iure* zwolnił ojców jego od pańszczyzny. Chłop wyzwolony z pod bata dziedzicowego wpadł pod jeszcze straszniejszy bat głodu, którym smagany bezlitośnie gnie kark pokornie przed panem i całuje go w rękę jak dawniej.

***

Ankieta cyborska przeprowadzona przez niżej podpisanego, a której wyniki tutaj podajemy, jest wąskim cyfrowym wypowiedzeniem się niewielkiej ilości cyborskich wieśniaków na temat ich najbardziej obchodzący, bo na temat ich egzystencji. Sposób egzystencji tego dna społecznego nie może nas nie interesować, skoro obejmuje być może więcej niż 50% ogólnej liczby ziem północno - wschodnich. Wiemy, że wieśniakowi siedzącemu w kresowych warunkach kultury rolnej na 2 czy 3 ha starcza corocznie chleba nie więcej niż na kilka miesięcy, a na „przednówku" brak mu również kartofli. Jest to więc zagadnienie ważne, jak żyje i jak przeżywa całe lata człowiek, którego egzystencja wymyka się z pod najskrupulatniejszej logiki rachunku prawdopodobieństwa. Żadna rozumowa kalkulacja nie potrafiłaby utrzymać przy życiu tych ludzi. A oni jednak żyją.

***

Na ankietę spośród 42 gospodarstw odpowiedziało tylko 16. Tymi więc 16-ma odpowiedziami będziemy się posługiwali. Wśród tych 16-tu odpowiedzi 4 należy do miejscowych „burżua", 3 bowiem ma po 12 ha, a jeden 15. Reszta tzn. 14 gospodarstw należy do gospodarstw karłowatych, obejmujących poniżej 5 ha. Życiu tych ostatnich, jako reprezentantów 62% całej ilości gospodarstw w województwie nowogródzkim, postarajmy się przyjrzeć. Ankieta m. in. zawierała następujące rubryki: ilość posiadanej ziemi z podziałem na kultury, w ilu „sznurach" znajduje się ten grunt i jaka jest ich szerokość, ilość i jakość zbiorów, ilość posiadanego inwentarza, zajęcie dodatkowe poza gospodarstwem rolnym, ile kupuje w ciągu roku cukru, ile spożywa mięsa, czy odczuwa brak chleba, kartofli lub innych produktów, czy korzysta z lasów państwowych i czy był karany za przestępstwa leśne, czy ma zaległości podatkowe i co mu najbardziej dokucza w gospodarce. Przejrzyjmy więc kolejno te rubryki:

***

W 16-tu wymienionych gospodarstwach żyje 78 *osób* w tym 49 ma powyżej lat 21. Średnio więc na gospodarstwo wypada 5 osób. *Ogólna ilość posiadanej ziemi* wynosi 74,25 ha i w tym 4 gospodarstwa zajmuje 51 ha, reszta tzn. 23,25 ha należy do 12 gospodarstw. Na gospodarstwo więc karłowate przypada średnio niecałe 2 ha. Przy czym ziemia orna stanowi po odliczeniu innych użytków i nieużytków jedynie 15 ha (na 12 gospod. uboższych), a więc ziemi ornej przypadnie na gospodarstwo zaledwie 1,25 ha. Tylko dwa gospodarstwa na 16 posiadają las (po ¼ ha). Łąk i pastwisk nie posiada 6 gospodarstw. Nieużytki wynoszą razem 2,25 ha — są to pasma gruntów przyleśnych.

Ilość i jakość zbiorów przedstawia się następująco: Zbiory żyta wynoszą około 13 tys. kg. W tym 4 większe gospodarstwa zbiera 8.500 kg pozostałe 14 gospodarstw zbiera 4.500 kg. Z tego średnio około ¼ musi iść na zasiew, pozostanie więc do użytku ok. 3.400 kg czyli na jedno gospodarstwo — ok. 240 kg. Ponieważ w gospodarstwie żyje średnio 5 osób, przeto na osobę przypadnie ok. 50 kg żyta na rok. Licząc teraz najskromniej po ½ kg dziennie, chleba wystarczy na 100 dni, czyli dokładnie licząc koniec przednówka na 1-go sierpnie *wieśniak tej kategorii zjada swój zapas chleba do dnia 11 - go listopada*. Z dniem Święto Niepodległości gospodarstwo karłowate zaczyna żywić ludzi tylko kartoflami i kaszą jęczmienną (jęczmień sieje każde gospodarstwo).

Zbiory ziemniaków wynoszą dla 16-tu gospodarstw ok. 90 tys. kg przy czym ok. 70 tys. przypada na 4 bogatsze gospodarstwa; proletariacka reszta musi się zadowolić liczbą 20 tys. kg. Znowu ok. 10% tego idzie na siew, a 18 tys. na zużytkowanie w gospodarstwie. Na jedno gospodarstwo przypadnie więc (18 tys. : 12) 1.500 kg na osobę zaś ok. 300 kg. Trudno sobie wyobrazić aby dla wieśniaka spożywającego conajmniej dwa razy dziennie kartofle mogło ich wystarczyć 1 kg Gdyby nawet tak było ti i wówczas przez więcej niż dwa miesiące rodzina taka musiała by się obejść bez tego podstawowego produktu. Ale jak będzie wyglądała sytuacja kiedy każda z osób dziennie zje 2 kg kartofli?

Ilość chowanego w gospodarstwie inwentarza przedstawia się tak: 5 gospodarstw obchodzi się bez koni, 4 gospod. ma po 2 konie, w 8 gospod. znajduje

się tylko jedna krowa, 6 gospod. nie hoduje świń, a tylko w 5 gospodarstwach jest po kilka owiec.

Na pytanie gdzie pracuje poza gospodarstwem rolnym 3-ch nie odpowiedziało wogóle, 3-ch bogatszych nie pracuje nigdzie, 4-ty z nich jest stolarzem. Z pozostałych: 6-ciu zarabia w lesie i na drogach, 1 we dworze, dwóch sprzedaje drzewo, przy czym żaden z nich własnego lasu nie posiada, a jeden z nich zaznaczył szczerze: „kombinuje się je z lasów państwowych".

Cukru nabyło 13 gospodarstw (3 nie odpowiedziało w tym dwa bogatsze) w ciągu roku 37,5 kg w tym 5 gospodarstw na 13 nie kupuje więcej niż 1 kg cukru rocznie.

Mięsa spożywa 12 gospodarstw (4 nie odpowiedziało) w ciągu roku 671 kg. W tym udział dwu większych gospodarstw wynosi 330 kg. 10 więc gospodarstw spożywa 341 kg, na jedno przypada ok. 34 kg, na osobę zaś ok. 7 kg. mięsa rocznie.

Odpowiedzi na pytanie jakich produktów brak odczuwa się w gospodarstwie potwierdziły w ogólności poprzednio wysnute wnioski z ilości zbiorów. Braku chleba i kartofli nie odczuwają 4 większe gospodarstwa. Jedno gospodarstwo nie odpowiedziało, co do braku chleba i 4 co do braku kartofli. Z pozostałych, 4 gospodarstwa brak chleba odczuwają 7 miesięcy w ciągu roku, inne mniej. Średnio, chleba w gospodarstwach brak 5 miesięcy, kartofli 4 miesiące. Korzystniejsza sytuacja w zaopatrzeniu produktami w tym wypadku niż wynikało by z wniosków wysnutych przy pomocy obliczeń na podstawie ilości zbiorów, jest zupełnie zrozumiała. Tutaj bowiem zbiory z gospodarstwa własnego zostały uzupełnione już dochodami pobocznymi z pracy poza gospodarstwem rolnym. Poza chlebem i kartoflami brak jest soli, mięsa, nafty i cukru.

Z lasów państwowych korzystają wszyscy. O tym, że korzystają w dość różny sposób świadczy fakt, iż na pytanie czy był karany za przestępstwa leśne odpowiedziało 9 osób potwierdzająco, u 7 brak odpowiedzi. Nikt nie dał odpowiedzi przeczącej.

Zaległości podatkowych nie ma ta cyborska nędza. Na 16-tu jeden tylko ma zaległości podatkowe. Z ¾ ha gruntu płaci 30 gr. podatku rocznie. Obecnie zaległości jego sięgają 10 zł.

Z innych bolączek wylicza się: brak ziemi, zły dojazd do gruntów i rozdrobnienie ziemi.

To ostatnie dochodzi do granic tragicznej śmieszności. 8 gospodarstw spośród 16 ma swoje grunta podzielone na 36 części („sznurów"). Przy ilości ziemi ornej poniżej 2 ha szerokość sznurów sięga czasami do 50 cm (dwa gospodarstwa) podczas gdy już 2-metrowa szerokość zagonów uniemożliwia ich należytą uprawę.

JAN DUCHNOWSKI.

Pod obstrzałem 60 rodzin

„Lordowie dolara zagrozili stu dwudziestu milionom ludu amerykańskiego, że, jeśli nie będzie im wolno swobodnie spekulować, jeśli nie wolno im będzie panować nad resztą mas bez jakiegokolwiek ograniczenia ich finansowej i ekonomicznej potęgi, to wtedy Stany Zjednoczone będą miały pierwszy generalny strajk okupacyjny — nie strajk pracy, nie strajk ludu amerykańskiego, ale okupacyjny strajk generalny sześćdziesięciu rodzin magnatów finansowych i strajk kapitału, który został stworzony przez cały lud amerykański a nad którym tych sześćdziesiąt rodzin potrafiło uzyskać panowanie".

Z mowy Ministra Spraw Wewnętrznych Stanów Harolda Ickes'a.

Stary „Economist" przepowiadał Rooseveltowi, tuż po jego drugim wyborze na Prezydenta w 1936 r., że walka nie jest skończona, że główne bitwy są dopiero przed nim. Nie pomylił się stary, doświadczony „Economist". Nie minął rok od tej przepowiedni, a już jesteśmy świadkami pierwszej, wielkiej bitwy o „New Deal", jaką przyszło Rooseveltowi stoczyć z kołami „Big Business", z kołami wielkiego kapitału za drugiej kadencji jego rządów.

Zaczęło się od giełdy nowojorskiej. Po dłuższym okresie zwyżki, potem względnego spokoju, przyszło nagłe, gwałtowne załamanie kursów akcji i papierów wartościowych. Panika giełdowa przeniosła się na „sfery gospodarcze". Handel i przemysł przetwórczy skurczyły z kolei do minimum swe zamówienia. To odbiło się na przemysłach podstawowych. Wskaźnik zatrudnienia stalowni, wynoszący przed trzema miesiącami około 70% zdolności produkcyjnej, spadł do blisko 20%. Mówi się o gwałtownym wzroście bezrobocia. Niepokój, lęk przed nadciągającym kryzysem, znowu napełnił niepokojem szerokie masy obywateli Stanów.

Przyczyny? Apologeci Wallstreet podają ich wiele. A więc — spadek „rentowności przemysłu", wskutek ciężarów socjalnych i podwyżki płac robotniczych. Przeczy temu obliczenie listopadowego biuletynu nowojorskiego National City Banku, jednego z największych banków amerykańskich. Stwierdza on, że 40 czołowych towarzystw akcyjnych Stanów wykazało w ciągu pierwszych dziewięciu mies. 1937 w porównaniu z tym samym okresem 1936 — wzrost zysków z 358 na 400 mil. dol. Zmniejszyła się tylko, i to nieznacznie, z 11,5% na 10,8%, stopa zysków w stosunku do obrotów. To samo potwierdza inne zestawienie tegoż biuletynu, dla 265 towarzystw akcyjnych, ogłaszających kwartalne sprawozdania. Wzrost zysków w tych towarzystwach wynosił blisko 30%.

A oto zyski kilku czołowych towarzystw: Pittsburgh Plate Glass (szkło) 1932 — strata 60 tys. dol., 1936 — zysk 15 mil. dol., E. J. du Pont de Nemours Co (chemiczne) 1932 zysk 26 mil. dol., 1936 — 90 mil. dol, Anaconda Copper Mining (miedź) 1932 — strata 17 mil. dol., 1936 — zysk 16 mil. dol., United States Steel Corp. (stal) 1932 strata 71 mil. dol., 1936 zysk 50 mil., General Motors (samochody) 1932 zysk 165 tys. dol. — 1936 zysk 238,705 tys. dol., Westinghouse Electric — 1932 strata 8 mil. dol., 1936 zysk 15 mil. dol. Oto jak wygląda brak rentowności przemysłu amerykańskiego!

Mówi się o nieostrożnej, spowodowanej naciskiem rządu ekspansji produkcji przemysłowej. I to jest zwyczajny nonsens. Świadczą o tym zapasy w handlu, przemyśle przetwórczym. Są one nieznaa-

czne, na ogół, z wyjątkiem bawełny, gdzie mamy do czynienia ze specjalną sytuacją, nie wiele większe od zapasów poprzedniego roku. Zapasy stali np. wystarczają na nie wiele więcej, niż pokrycie konsumcji jednego miesiąca. Jest rzeczą jasną, że takie zapasy nie mogły spowodować kryzysu.

Cóż więc jest przyczyną załamania? „Guaranty Trust Survey", organ innego wielkiego banku amerykańskiego pisze tak: „Obroty przestały się powiększać przede wszystkim wskutek spadku zaufania... Zaufanie wielu „business men" zaczęło się chwiać już w lutym, kiedy wzrost konfliktów robotniczych coraz bardziej zaczął zaciemniać perspektywę". Zdaje się, że trudno mówić wyraźniej. A londyński „Banker", pismo fachowe, drogie i rzadko widywane przez laików mówi wręcz: „Kryzys giełdowy był nie tyle następstwem konkretnych warunków gospodarczych, co niezadowolenia, nagromadzonego u osób bogatych z powodu polityki rządu. Wygórowane podatki, ograniczenia spekulacji, rozgłaszanie transakcji szczególnie wielkich właścicieli, ogólny gniew na nieprzyjazne stanowisko New Dealu wobec ludzi zamożnych, wszystko to złożyło się na odpowiedni nastrój... Mamy, w pewnym sensie strajk kapitału w Stanach, strajk nieorganizowany i, przynajmniej w większości wypadków nie świadomy, ale wynikający z nagromadzonego rozczarowania i gniewu z powodu zarządzeń New Dealu". Tak mówią zwolennicy „kół gospodarczych". Ich przeciwnicy, zwolennicy New Dealu mówią wyraźnie o planowym, organizowanym świadomie przez garść największych magnatów kapitału „strajku okupacyjnym milionerów przeciw narodowi i państwu amerykańskiemu". I mają zupełną rację. Bo czemże, jeśli nie otwartym wypowiedzeniem wojny jest takie np. oświadczenie p. Lamonta, współwłaściciela banku J. P. Morgan et Co.: „Obecna regresja gospodarcza jest w dużym stopniu skutkiem zamętu, braku zaufania obywateli i podejrzliwości, jaką rząd żywił dla kół gospodarczych w ciągu ostatnich pięciu lat". Czyż można wyraźniej powiedzieć, że chodzi o represję, o odwet na rządzie, który ośmielił się „samego" Johna Pierponta Morgana postawić przed komisją śledczą parlamentu i prześwietlić nieco tajemnice jego korupcyjno-spekulacyjnych interesów?

Jaka jest technika tego „strajku okupacyjnego"? Ta, którą zawsze i wszędzie stosuje wielki kapitał wobec niemiłych sobie rządów: ograniczenie inwestycji, ograniczenie działalności gospodarczej. „Nie można żądać od kapitalizmu prywatnego, by łożył pieniądze na swą własną likwidację" — oto jak określa tę taktykę publicysta amerykański Walter Lippman. Zilustrujmy ją na kilku przykładach. Zysk kolei amerykańskich (od kapitału inwestowanego) wynosił w r. 1930 1,25%, w roku 1936 — 2,58%. Mimo to koleje te (w Ameryce koleje należą do prywatnych grup finansowych!) inwestowały w odnowienie torów, w nowe budowle, w nowe maszyny czy wagony, w r. 1936 mniej niż w r. 1930! Przykład inny: produkcja energii elektrycznej wynosiła w r. 1937 — o 26% więcej niż w r. 1929. W tym samym czasie zapotrzebowanie elektrowni na nowe urządzenia produkcyjne spadła do 46% stanu z 1929 r. Te dwie liczby, 126% konsumcji i 46% nowych inwestycji oto jaskrawy obraz „strajku okupacyjnego milionerów" przeciwko narodowi amerykańskiemu. Magnat zbrojeniowy i chemiczny, miliarder Du Pont, oświadcza, że kapitał amerykański mógłby inwestować dalszych 25 miliardów dolarów, gdyby „został usunięty niepokój co do przyszłości", czyli, mówiąc po prostu, gdyby New Deal skapitulował przed finansowym kapitałem. „Strajk okupacyjny miliarderów" dotyczy więc sumy, równej budżetowi państwa polskiego na przestrzeni... pięćdziesięciu lat!

Pod huraganowym ogniem Wallstreet Roosevelt zachwiał się chwilę. Szukał porozumienia. Jeden z jego ministrów zwrócił się do kapitału prywatnego z prośbą o aktywny udział w utrzymaniu koniunktury. Ryk triumfu i żądanie kapitulacji odpowiedziało na te próby. „Zlikwidować New Deal!". „Obniżyć zarobki robotnicze!". „Znieść podatki, niewygodne dla kapitalistów!".

Roosevelt miał do wyboru: albo podjąć walkę albo przekreślić wszystko co zrobił dotąd. Po chwili wahania zdecydował się na walkę. Dwóch z jego najbliższych pomocników, Assistant Attorney General Jackson i minister spraw wewnętrznych Ickes w ostrych słowach zaatakowali monopole kapitalistyczne i ich „strajk okupacyjny". Za słowami poszły czyny. Aluminium Company of America, należąca do rodu Mellonów, została rozwiązana za „ustalanie cen w sposób nierozumny i uciążliwy dla życia gospodarczego". Przeciw towarzystwom naftowym, m. i. przeciw rockefellerowskiej Standard Oil rozpoczęto proces o „spisek w celu podniesienia cen". Przeciw Fordowi i koncernowi Chryslera wszczęto dochodzenia za praktyki finansowe.

Te argumenty na razie podziałały. Dygnitarze wielkiego kapitału udali się na audiencję do prezydenta. Otrzymali pewne drobniejsze ustępstwa podatkowe. Za to przyrzekli uroczyście wstrzymać „strajk okupacyjny" i podjąć współpracę nad poprawą koniunktury. Stopień zatrudnienia w stalowniach wzrósł z 20% na 30. Jeszcze jedna bitwa została wygrana.

Napisaliśmy wyraźnie: jeszcze jedna bitwa. Bo wojna, wojna rzeczywista trwa nadal. Trwa i nie skończy się dopóki jeden z przeciwników nie zostanie pokonany.

ROMAN LANG

Dyktatorzy współcześni cieszą się, jak sami powiadają, bezgraniczną miłością swoich rodaków. I na znak uciechy fundują sobie... coraz liczniejsze zastępy policji.

***

Mówiąc o „elicie", ludzie złej wiary zazwyczaj zniekształcają treść tego wyrazu: udają, że nie wiedzą, iż członkiem elity nie jest pretensjonalny fanfaron, który mieni się wyższym nad innych, ale ten, kto więcej wymaga od siebie, niż od innych, nawet wtenczas, gdy nie zdoła urzeczywistnić w sobie swych wyższych dążeń.

***

W uniformie faszyzmu zjawił się po raz pierwszy w Europie, typ człowieka, który nie udowadnia swej słuszności, który nawet nie chce jej mieć, lecz tylko przestaje na narzucaniu swych poglądów przemocą.

NA WIDOWNI POLSKIEJ I ŚWIATOWEJ

KATOLIKOM WSTĘP WZBRONIONY

„Wódz" faszystów rumuńskich, t. zw. Żelaznej Gwardii, kapitan Zelea Codreanu zakazał przyjmowania katolików do szeregów tej, walczącej o „przełom" narodowy, organizacji. P. Codreanu cieszy się szczególną sympatią naszych rodzimych faszystów z pod znaku starej endecji i trzech czy czterech oenerów. W kilku polskich pismach faszystowskich poświęcono rumuńskiemu führerowi pokaźne panegiryki, podnosząc zwłaszcza jego zasługi w dziele „odżydzania" Rumunii.

Nasi faszyści przypisują sobie monopol nie tylko na patriotyzm. Ostentują również swą ultrakatolicką prawowierność, wobec której ideologia Akcji Katolickiej okazuje się już tylko sprytną kontrabandą demoliberalizmu i komunizującej herezii. Ale — podobnie jak patriotyzm, tak i katolicyzm naszych totalizatorów jest dla nich tylko demagogicznym środkiem w realizowaniu celów — równie sprzecznych z patriotyzmem, jak obcych katolicyzmowi. Posługują się katolicyzmem dlatego tylko, że jest on religią większości obywateli Polski, zwłaszcza, że bazą operacyjną faszyzmu są z natury rzeczy warstwy, którym obca jest antyklerykalna, postępowa tradycja ruchu robotniczego i ludowego.

Natomiast większość Rumunów jest prawosławna. Nagonka na katolików może tedy, obok antysemityzmu, stać się w demagogii „Żelaznej Gwardii" dodatkowym środkiem oszukiwania i kaptowania naiwnych, wierzących, że Codreanu jest zbawcą narodu. W ten sposób ideał naszych ultrakatolickich faszystów postawił katolicym na równi z żydostwem. I nie on pierwszy zresztą. Nie zapominajmy, że Codreanu (co jest publiczną tajemnicą) słucha rozkazów Berlina a patriotyzm „Żelaznej Gwardii" jest poprostu hitlerowską szturmówką, realizującą wskrzeszone marzenia wszechniemieckiego imperialimu o „Mitteleuropie". To zaś tłumaczy nie jedno posunięcie polityczne kapitana Codreanu, którym tak zachwycają się nasi „narodowcy".

Dlatego hasłem faszyzmu rumuńskiego stało się: Precz z Żydami! Katolikom wstęp wzbroniony!

Z WZOROWEGO KRAJU DOBRYCH OBYCZAJÓW

Istnieje kraj, o którym niechętnie mówią „morżowi" „demokraci" z „Nowej Prawdy" i K.A.P.-u, tak szczycący się antytotalistycznym stanowiskiem części katolików niemieckich. Tym krajem jest Austria. Bo tutaj totalizm jest w porządku. Tutaj totalizm jest „swój".

Właśnie ten wzorowy kraj naszych klerykałów ogłosił wykazy statystyki sądowej za ostatnie lata. Niezwykle ciekawe wykazy. Okazuje się, że pod rządami „Quadragesimo Anno" wzrasta przestępczość. Wzrost kradzieży np. wynosi od roku 1936 do 1937 około 1000 wypadków. Ciekawy jest przy tym podział podług krajów (mniej więcej tyle co u nas województw). Okazuje się, że np. w Austrii Górnej przypada 775 kradzieży na 100 tys. mieszkańców, gdy w Wiedniu tylko 319. Jest to tym charakterystyczniejsze, że Austria Górna to teren rolniczy, a z reguły okręgi rolnicze dają o wiele niższe odsetki kradzieży, niż wielkie miasta z ich dzielnicami nędzy. Ale za to Austria Górna jest klerykalna do szpiku kości, a Wiedeń dotąd nie zapomniał jeszcze — i nie myśli zapomnieć — o swej socjalistycznej przeszłości. Widocznie „bezbożni" socjaliści lepiej uczyli ludzi uczciwości niż najbardziej pobożni księża katecheci. Wzrosła niesłychanie liczba wyroków za spędzanie płodu. Wzrosła liczba morderstw i zabójstw. Co najgroźniejsze: liczba młodocianych, skazanych za zbrodnie wzrosła od 1935 r. o 47%, podczas gdy liczba dorosłych wzrosła w tym samym czasie o 14%. Młode pokolenie, wyszłe ze szkół klerykalnego totalizmu, młode pokolenie, które wyrasta w jego atmosferze jest widocznie mniej odporne moralnie od dawnych, wychowanych w szkołach demokratycznej republiki. Oto odpowiedź na deklamacje klerykalne o obronie zagrożonej przez demokrację moralności publicznej. Oto także, mówiąc nawiasem, odpowiedź na postulat klerykalizacji szkoły, głoszony z brutalną szczerością przez „Politykę" i jednocześnie odpowiedź na pretensje „Głosu Narodu", do Kongresu Z.N.P. za to tylko, że nie uchwalił rezolucji klerykalnej. Wprawdzie nie używa on tego terminu, ale demokracja wie już z bogatego doświadczenia, że gdy pewni ludzie mówią „religia", to najmniej myślą o wcielaniu w życie ideałów chrześcijańskich, najwięcej zaś mają na oku praktyczne cele klerykalizacji szkoły i życia.

Rzecz jasna, że reżym austriacki, dający tak błogie owoce, musi się także bronić. Liczba skazanych za przestępstwa polityczne wzrosła znacznie. Za „zdradę stanu" skazano 444 osób (w r. poprz. — 337 osób), za przestępstwa przeciw bezpieczeństwu państwa 155 osób, za „zakłócenie porządku" — 257 osób (w poprzednim r. 197 osób).

Teror polityczny, demoralizacja społeczeństwa, rosnący rozkład moralny wśród młodzieży — oto bilans, zestawiony przez jej własnych urzędników, klerykalnej dyktatury austriackiej.

PRZERAŻENIE RZYMSKIEGO PROKURATORA

Natrafiliśmy w jednym z niemieckich pism emigracyjnych na list młodego robotnika niemieckiego, pracującego w Leuna-Werke, jednej z największych niemieckich fabryk chemicznych. Obok szczegółów gospodarczych, zawodowych i t. p. znajdujemy tam następujące zdania:

„Jedno przewija się, jak czerwona nić przez dyskusje robotników i ich żon: tęsknota za możliwością swobodnego wypowiedzenia się. Kto nie był w fabryce takiej jak nasza, nie może sobie wyobrazić, jak silne jest pragnienie nawet u mniej rozwiniętych umysłowo robotników rzetelnego i swobodnego słowa. Pewien kolega, który dawniej nigdy nie interesował się sportem, powiedział mi niedawno, że teraz chodzi często na mecze piłki nożnej, gdyż przy tej sposobności może, nie narażając się na niebezpieczeństwo dać w jaknajdobitniejszy sposób wyraz swemu niezadowoleniu z któregoś z graczy, lub też z jakiegoś zdarzenia na boisku... Nowy ruch antytotalistyczny, jaki rozwija się w Niemczech, będzie opanowany przez niczym nie dającą się zmylić wolę wolności..."

Utopia? Emigracyjne marzenia? Oto marzenia te potwierdza osobistość nie podejrzana w tym względzie: profesor Tancredi Gatti, prokurator przy „Trybunale Specjalnym" dla spraw politycznych w Rzymie. Przy tym samym trybunale, który skazuje antyfaszystów włoskich na kary po 10, 15, 20 lat więzienia. Ogłosił on niedawno w prasie kryminalistycznej włoskiej rozprawę, która stanowi prawdziwą sensację. Jest to bowiem ni mniej ni więcej, jak przyznanie się do bezsilności teroru faszystowskiego wobec ruchu wolnościowego we Włoszech.

„Młodzi Włosi — pisze Gatti — opuszczający w wieku 28 czy 30 lat więzienie w którym spędzili 8 do 10 lat, podejmują w kilka tygodni po zwolnieniu znowu swą poprzednią działalność, ryzykując, że zostaną ukarani jaknajsurowiej po raz drugi... U tych ludzi wytwarza się — wypowiadam to z głęboką troską — apatyczna i zacięta mentalność, wobec której postępuje się zbyt ostro. W najpoważniejszych wypadkach — rzecz doprawdy przerażająca, jeśli pomyśleć, że chodzi tu o młodych ludzi w wieku od 20 — 30 lat — oświadczają oni chłodno,

że gotowi są spędzić całe swe życie — za dwoma lub trzema nawrotami — w więzieniu". Gatti kończy stwierdzeniem, że długoterminewe kary za walkę o wolność są „bezsilne, niewystarczające i jednostronne".

Nie wiemy, jakie wnioski wyciągnie rzymski prokurator Trybunału Specjalnego z stwierdzonych przez siebie faktów. Być może — choć ton artykułu bynajmniej tego nie zapowiada — zaproponuje zamianę długoterminowego więzienia na karę śmierci, wzorem niemieckim. Być może, przeciwnie, zaproponuje jakieś ulgi, jakieś „systemy wychowawcze". Nie o to chodzi. Profesor Gatti nie może przecież zgłosić jedynie skutecznego w tym wypadku środka zapobiegawczego: likwidacji faszyzmu.

Ważne jest natomiast co innego. Oto pokolenie, które nie znało już wolności, pokolenie, któremu od małego dano sztylet do ręki i nauczono krzyczeć „Duce! Duce!" wraca do starego hasła ojców. Wolność! Oto ci młodzi Włosi, którzy wyrastali w faszystowskiej szkole i w „Balilli", gotowi są życie swe oddać, gotowi są — prokurator faszystowski stwierdza to z troską i przerażeniem — całe swe życie spędzić w kazamatach, byle zdobyć to, co ojcowie utracili: Wolność!

GENERAŁOWIE POSZLI, ALE KRUPP POZOSTAŁ

Ostatnie przesunięcia w Niemczech, szczególnie gruntowna „czystka" wyższego aparatu wojskowego, dała sposobność pewnemu odłamowi prasy polskiej do odgrzewania starych wersji o antagoniźmie pomiędzy partią hitlerowską a przemysłem niemieckim. Znaleźli się nawet tacy, co zapowiadali, że partia powróci teraz do dawnego, radykalnego pod względem społecznym programu, odłożonego do akt na drugi dzień po objęciu władzy. Wersje te nie mają jednak nic wspólnego z rzeczywistością.

Niewątpliwie w pewnych kołach przemysłu niemieckiego, mianowicie w drobnym i średnim przemyśle, w przemyśle przetwórczym i spożywczym istnieje pewne niezadowolenie z reżymu. Niezadowolenie to nie może się łączyć z generałami, z tej prostej przyczyny, że trudności, jakie odczuwa kapitał w tych gałęziach wytwórczości, związane są bezpośrednio z dozbrojeniem, co do którego nie było chyba żadnych różnic zdań pomiędzy generałami a partią. Niezadowolone grupy kapitału niemieckiego są to grupy mniejsze, nie decydujące o polityce tego, co zwykle określa się pojęciem „kół gospodarczych". Decydującą grupą kapitału niemieckiego jest c i ę ż k i przemysł, który jest jaknajzupełniej zgodny z polityką partii. Jakżeby nie miał się zgadzać zresztą, kiedy taka firma Krupp np. przez cały czas republiki weimarskiej, niezdolna do wypłacania dywidend, teraz płaci je regularnie i co roku je jeszcze podwyższa?

Firma Krupp, to symbol współpracy partii i wielkiego kapitału. W r. 1934, przed 30 czerwca, kiedy gotowała się likwidacja Röhma, Strassera, Schleichera i t. d., kanclerz Rzeszy uprzednio odwiedził starego p. Krupp von Bohlen. Tak się dziwnie składa, że i teraz, na kilka tygodni przed „czystką" w armii, kanclerz Rzeszy zjechał do Essen, by uświetnić swą obecnością ślub panny Irmgard von Krupp. Być może, przy tej sposobności omawiano, oprócz trasy podróży poślubnej młodej pary, także i inne, mniej idylliczne zagadnienia... Przypomnijmy, że premier Goering, który, według zgodnej opinii prasy zagranicznej, gra teraz decydującą rolę w Rzeszy, jest od dawna związany z ciężkim przemysłem. W Urzędzie Planu Czteroletniego gros kadrów kierowniczych to osobistości z kół ciężkiego przemysłu, „wypożyczone" na pewien przeciąg czasu ze swych stałych zatrudnień. Nie ulega wątpliwości, że spełniając swe nowe funkcje, nie zapominają one o interesach macierzystych przedsiębiorstw. Niema mowy o jakimś zwrocie Trzeciej Rzeszy w kierunku socjalnego radykalizmu. Będziemy mieli jedynie wzrost roli ciężkiego przemysłu i największego kapitału finansowego kosztem pewnych drobniejszych i słabszych grup kapitałowych.

Pozostają problemy polityki zagranicznej. I tu naiwnym jest pogląd, wiążący ciężki przemysł z bardziej umiarkowanymi, nieco mniej wojowniczymi tendencjami w polityce zagranicznej. Przecież polityka Ribbentropów i Goeringów, niekiedy częściowo hamowana przez grupę wojskową, idzie po linii interesów ciężkiego przemysłu. Marszruta na Czechy, to zniszczenie Skody, najpoważniejszego na południe i wschód od Niemiec konkurenta Kruppa, konkurenta, z którym ostra walka toczy się w Jugosławii i Rumunii. Wzmożona ingerencja w Hiszpanii, to walka o rudy hiszpańskie i marokańskie, stary, łakomy kąsek, na który ciężki przemysł niemiecki ma apetyt jeszcze z czasów Agadiru. Za ekspansją ideologiczną Faszinternu stoi firma Krupp, a nie „ideologiczne" rojenia teoretyków rasizmu. Czy jednak ta polityka, polityka natychmiastowej, lub przynajmniej na krótką metę obliczonej awantury przeważyła już ostatecznie w polityce zagranicznej Rzeszy? Jesteśmy — wraz z większością prasy zagranicznej — skłonni do przyjęcia tego właśnie zdania. Przeciw niemu przemawiają dwa fakty: odwołanie ambasadorów z Tokio i z Rzymu, skład „tajnej Rady", uwzględniający w dużym stopniu reprezentację armii i floty. Ale odwołanie ambasadorów może mieć także osobiste przyczyny. Zobaczymy, kogo wyznaczy się na ich miejsce. Przedstawicielstwo siły zbrojnej w „tajnej Radzie" może być koniecznością, podyktowaną właśnie faktem, że w planowanych posunięciach zagraniczno-politycznych tej sile zbrojnej przypadnie z natury rzeczy decydująca rola... Sygnałem alarmowym natomiast jest powołanie gen. Reichenau, „partyjnego generała", powiernika kliki Ribbentroppowskiej na komendanta D.O.K. w Lipsku, w okręgu, któremu podlega pogranicze niemiecko-czechosłowackie. Drugim faktem potwierdzającym głosy pesymistów jest niesłychanie ostra reakcja Rzeszy na informacje prasy zagranicznej. Za bardzo zresztą zrównoważony komunikat i bynajmniej nie za antyniemieckie informacje odebrano na stałe debit „Temps"-owi, pismu prawicy francuskiej, raczej pojednawczo usposobionemu wobec Niemiec.

„WELTDIENST" PRACUJE W NORWEGII.

Pisaliśmy ostatnim razem o kontaktach hitlerowskich francuskich „kagulardów". Tym razem mamy do zanotowania fakt inny, z północnego krańca Europy.

Historia rozgrywa się w Narvik, daleko wysuniętym na północ porcie norweskim. O porcie tym nie mówi się w szkołach, ale za to jest on dobrze znany sztabom generalnym. Ma on ważne znaczenie stragiczne. Sam p. marszał. Blomberg, będąc jeszcze ministrem, odwiedził ten port, ku niezbyt wielkiemu zresztą zadowoleniu rządu norweskiego.

Ważną figurą w Narvik był pułkownik Sundlo. P. pułkownik interesował się polityką. W wolnych od zajęć służbowych chwilach był instruktorem „drużyn ochronnych" „ruchu Quislinga". Ten ruch, to taka sobie filiacja hitlerowska na Norwegię. Nie ciesząc się poparciem z góry, w ostatnich wyborach gminnych zdobyli zaledwie kilka mandatów na parę tysięcy.

Otóż do p. pułkownika Sundlo, w życiu prywatnym instruktora „quislingowców", zgłosił się niemiecki towarzysz ideowy, dziennikarz Pantenburg. Prosił go o pomoc w ważnym przedsięwzięciu. P. Pantenburg szukał czystych okazów rasy nordyckiej. Nie mógł ich znaleźć w „mieście mieszańców", Berlinie. Przyjechał szukać ich tutaj, na północy, w ojczyźnie Normanów i Waregów. Prosił norweskiego druha o pomoc w wyszukaniu i sfotokrafowaniu co najczyst-

szych typów rasy nordyckiej. Jakże mógł rasista norweski odmówić rasiście niemieckiemu pomocy w tak zbożnym dziele?

P. Pantenburg fotografował pilnie przez parę tygodni, aż miał gotowy komplet zdjęć, wystarczających na pokaźną monografię. Wtedy spakował walizy i chciał wsiąść na statek. Nie wyjechał jednak. Zatrzymała go norweska policja. Nie szło jej oczywista o rasowe nordyckie typy, znajdujące się na zdjęciach p. Patenburga. Szło jej o.. tło tych zdjęć. Bo oto okazało się, że czysta nordycka rasa uwydatnia się najlepiej na tle... fortyfikacji wojennych portu Narvik, pozostających pod zarządem pułkownika Sundlo. Oczywista, Norwegia nie ma nic przeciw fotografowaniu jej typów ludowych, ale woli, by fotografie jej fortyfikacji wojennych nie znajdowały się tam, gdzie nie potrzeba. Zbiór zdjęć powędrował do sądu, p. Pantenburg do kryminału, p. pułkownik Sundlo nie będzie już instruktorem „quislingowców" ani gościnnym gospodarzem hitlerowskich przyjaciół.

Znowu ten sam obraz: skrajna faszystowska reakcja staje się ekspozyturą obcego wywiadu.

JESZCZE JEDEN PROCES „RASISTOWSKI".

„Robotnik" podaje przebieg sprawy redaktora „Epoki" z redaktorem „ABC":

„Pod przewodnictwem s. Kamińskiego odbył się dn. 11-ego b. m. w Sądzie Okręgowym w Warszawie jeszcze jeden proces „rasistowski", wynikły z prywatnego oskarżenia Tadeusza Gluzińskiego redaktora oenerowskiego „ABC" przeciwko Henrykowi Lukrecowi, redaktorowi demokratycznej „Epoki".

W grudniu 1936 r. ukazał się w tym piśmie artykuł Antoniego Wieczorkiewicza p. t. „Chrzczona demokracja i wychrzczona endecja", w którym autor dowodził, że endecja wytyka semityzm wszystkim ugrupowaniom polskim, wrogo do niej ustosunkowanym, natomiast patrzy przyjaznym okiem na ludzi żydowskiego pochodzenia, którzy służą reakcji endeckiej. Przez przypadek wymieniono w tej kategorii działaczy nazwisko redaktora „ABC" i to właśnie stało się powodem procesu.

Redaktor „Epoki", Henryk Lukrec, zasłużony publicysta, do winy się nie przyznał, stojąc na stanowisku, że artykuł nie miał cech zniesławienia. Od lat 30 walczy o idee i nigdy nie był oskarżony o zniesławienie, co świadczyć może, że na niczyją cześć nie nastaje.

Jeżeli zaś oskarżyciel uczuł się w swoim przekonaniu pokrzywdzony posądzeniem go omyłkowo o pochodzenie semickie — to mógł licząc na dobrą wolę poważnego pisma, żądać sprostowania.

Obrońca oskarżonego, adw. Kisielewski w energicznych przemówieniach przekonywająco zbijał twierdzenia rzeczników strony przeciwnej i dowodził, że każdy kulturalny Polak, stojący na gruncie obowiązujących praw polskich, nie może uznać jako zniesławienie lub krzywdę posądzenie kogoś o pochodzenie żydowskie. W dziejach kultury polskiej jest wielu zaszczytnie znanych twórców, pisarzy i bojowników o wolność Polski pochodzenia semickiego. Z drugiej zaś strony semickim i półsemickim endekom pochodzenie ich nie przeszkadza być wpływowymi działaczami w obozie „narodowym".

Przebieg rozprawy trzymał w napięciu zgromadzoną publiczność".

Nazajutrz, dn. 12 b. m. sędzia Kamiński ogłosił wyrok, skazujący redaktora „Epoki" na 3 miesiące aresztu z zawieszeniem i na 300 zł. grzywny, tudzież na zamieszczenie treści wyroku w szeregu pism warszawskich.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego:

Emil Kuroński: Położenie prawne ludności polskiej w Trzeciej Rzeszy. Katowice 1938.

Józef Feldman: Bismark a Polska. Katowice 1938.

Józef Gołąbek: Literatura Serbskołużycka. Katowice 1938.

Tadeusz Żeleński - Boy: Marysienka Sobieska. Okładka — drzeworyt barwny St. O. Chrostowskiego. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa 1938.

Dr. Józef Macko: Nierząd jako choroba społeczna. Warszawa 1938. Nakładem Polskiego Komitetu Walki z handlem kobietami i dziećmi.

Marcin Andersen Nexo: Pelle zwycięzca. Powieść. Autoryzowany przekład *Józefa Mondscheina.* Warszawa 1937. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień".

Marcin Andersen Nexo: Lata nauki Pellego. Powieść. Autoryzowany przekład *Józefa Mondscheina.* Warszawa 1938. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień".

Madelon Lulofs: Kulis. Powieść. Autoryzowany przekład *H. Bukowskiej.* Warszawa 1938. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień".

*

Eric Linklater: Juan w Chinach. Powieść. Przełożyła Alicja Strassman. Warszawa 1938. Nakładem „Księgarni Popularnej".

Hermina zur Mühlen: Diabelski młyn. Powieść. Warszawa 1937. Nakładem „Księgarni Popularnej".

Maksymilian Boruchowicz: Fiziologia rozpaczy i nihilizmu. (L. F. Celine i nasze czasy). Odbitka z kwartalnika „Życie świadome".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu A. Szam. w Łodzi: Podzielamy słuszne uwagi Pana i zamierzenia nasze idą oddawna w tym kierunku. Za miłe słowa dziękujemy.

Pani Z. M. w Przemyślu: Nie skorzystamy. Temat ten omawialiśmy kilkakrotnie.

Nauczycielowi P. S.: Jeszcze nie do druku. Dalsze wysiłki może nie będą bezowocne.

Pani B. S. we Lwowie: Ocen nie podejmujemy się. Radzimy zwrócić się do nowopowstałego w tym celu towarzystwa p. n. „Młody Teatr". Warszawa, ul Trębacka 4 m. 4.

D-rowi W. W. w Warszawie: Listów podpisanych inicjałami nie drukujemy ani też nie omawiamy.

Panu St. W. w Tarnowie: Instytut Gospodarstwa Społecznego: Warszawa, Czerwonego Krzyża 20. Za list serdecznie dziękujemy.

Pani J. K. w Lublinie: Uwagi Pani przekazaliśmy autorowi, niewątpliwie odpowie osobiście.

Panu M. L. w Radomiu: „Epoka" od stycznia ukazuje się trzy razy miesięcznie: 5-go, 15-go i 25-go.

Od wydawnictwa

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4598 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.